Maryla Rodowicz
Fot. J. Grzegrzewicz

Gdzie jesteś piosenko?

Na str. 5 Romuald Wiśniewski pisze o festiwalu w Opolu

Rok założenia 1933

Kamena

LUBLIN 19.VII.1970 Nr 15 (448) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY CENA 2 ZŁ

ZIEMIA

Andrzej Malinowski

ZRZUCIŁA z pleców tobołek, włosy zgarnęła pod chustę, czepiła się wzrokiem kępy łoziny na wiślanym wale. Krzyknąć by za tymi, na promie, niech wrócą, niech zabierają stąd, niech ratują! Ale tamci mocowali się już z nurtem na środku rzeki. Nie usłyszą, a choćby nawet — gdzie im tam w głowie wracać na babskie lamenty. Chciałaś kobieto, to masz — powiedzą — nie nasza sprawa. Jak tłumaczyć obcym, że to nie jej wola, że nie ona to umyśliła, że nawet ten węzełek mąż jej upychał, kiedy w kącie izby klęczała przed świętym Antonim... Patrzyła więc na te obce krzaki i żal w niej zbierał okrutny, tęsknota za puławskim piachem, za sośniakami na wydmach, za płachtami żółtego łubinu.

Florek kręcił machorkę — w grubych paluchach owijał strzępkiem gazety brązowe badyle. Przypalał, kiedy się ocknęła.

— Masz swój Zachód, masz swoją ziemię, masz budynki i krowy, masz wszystko!

Krzyczała prawie. Jedną ręką trzymała pod brodą węzeł chusty, drugą wodziła po horyzoncie — pustym i dalekim, po koronach wierzb wyrastających prosto z wody — bez pni i konarów. W gardle czuła łzy i dławiącą złość. Na ten wyjazd nagły, jak do pożaru, na tydzień tułaczki po spalonych dworcach, na towarowe pociągi, na obcych ludzi o nieżyczliwych twarzach i na niego — przede wszystkim na niego.

— Masz tę obiecywaną ziemię, stary durniu. Nachłepc się tej cuchnącej wody, nażryj się tych badyli, możesz się nawet w tym bagnie utopić! Ale mnie ze sobą nie wlecz! Dla mnie żadna niewola w topielisko leźć i z głodu zdychać! Dla mnie żadna niewola...

Wybuchnęła płaczem spazmatycznym, bezgłośnie prawie. Florek palił w milczeniu.

— Floruś! — przypadła całować spękaną rękę — Floruś, na rany Chrystusa, wracamy! Przyjdzie prom, zabierzemy się na tamten brzeg i do domu, do swoich.

Wyszarpnął rękę, delikatnie ujął skręta w pożółkłe palce.

— Do swoich powiadasz... Niby — na ludzkie języki i pośmiewisko. Na łaskę sąsiadów i żebraninę o konia do pługa. Nie gadałabyś kobieto byle czego... Ziemia będzie tu! — wdeptał niedopałek w mokry wiślany wał.

Przyszedł prom. Przywiózł ciężarówkę pełną kartofli i kilku ludzi objuczonych tobołami. Florek ukradkiem patrzył po twarzach — nie wyglądali na rolników. Kierowca zgodził się zabrać:

— Nie zostawię was przecież na tym odludziu, zresztą, po drodze — ja też do Nowego Dworu. Z pierwszymi ziemniakami. Do szoferki nie biorę nikogo — w razie czego, strzelają najpierw do kierowcy. Jak kto ma broń, niech trzyma w pogotowiu.

Ludzie sadowili się na ziemniakach, wrzucali na górę zawiniątka, węzełki, toboły. Ruszyli asfaltem, tu i ówdzie poznaczonym kępkami soczystej, lipcowej trawy. Przydrożne zarośla wybujały od nadmiaru wilgoci. Bóg jeden wie, dla kogo mogły być kryjówką. Szofer przecież mówił: jak kto ma broń... Nie gadał chyba po próżnicy.

— Ot, i masz babo placek — zaśpiewał z wileńska starszy mężczyzna, piastujący pokaźną, skórzaną walizę — jadę otwierać aptekę, a nie wiem, czy i flaszkę rycyny w niej znajdę. Tego tu — wskazał na neseser — na długo nie starczy.

Młody człowiek z teczką był prokuratorem. Trzymał rękę w zanad-

Dokończenie na str. 6—7

Fot. Michał Trachman

Prasa lubelska w 1944 r.

Al. Leszek Gzella

ODRODZENIE prasy polskiej jest niepodzielnie związane z Lublinem. Tu powstawały zręby nowej prasy ludowej, tu nabyto w ciągu 164 dni Polski PKWN doświadczenia w zakresie informacji masowej, powielane później na terenach zachodnich Polski, tu „sformowane" szeregi dziennikarzy zasilały inne redakcje w kraju, lub wręcz były podstawą organizowania pism i dzienników na terenach wyzwalanych przez wojska radzieckie i polskie.

Społeczeństwo kraju odczuwało olbrzymi głód p r a w d z i w e j prasy polskiej. Leon Chajn w swoich wspomnieniach („Kiedy Lublin był Warszawą") pisze, że gdy 16 stycznia 1945 r. przyjechał do Radomia, na murach domów i na słupach ogłoszeniowych były jeszcze przylepione egzemplarze gadzinówki „Dziennika Radomskiego", donoszące o niemieckich sukcesach na Wschodzie.

Dokończenie na str. 4

Z lipcowych dni

Gdy przetaczał się front

Wiktor Bazylewski

W NOWYM STAWIE, wsi z natury i położenia cichej, można było zauważyć niecodzienne poruszenie. Gospodarze kopali przy aktywnej pomocy rodzin „schrony" na polu, w bezpiecznej — ich zdaniem — odległości od budynków, najbardziej narażonych na ogień. Jedne były już na ukończeniu, część w wykonaniu. Rodzice umieszczali w nich dzieci, znosili pościel, odzież i inne przedmioty, co wartościowsze z punktu widzenia wiejskiej użyteczności.

Nie można było dziwić się tym zabiegom. W czerwcu tegoż roku podczas walk większego oddziału AK z Niemcami wieś przeżyła próbną lekcję wojny. Wyjątkowo nieszczęście nie dotknęło żadnego domu. Jedyną osobą, która poniosła szkodę, była Maria Goździowa. Kobieta, znana z niezłomnej cnoty skąpstwa, może przebolałaby uszczerbek materialny, gdyby nie rana, która ciągle odnawiała się w sercu, jeśli ktoś z sąsiadów przypomniał stratę. Sąsiadki, jako taktowniejsze, nie napomykały, ale Goździowa wyczuwała więcej uciechy niż współczucia w ich milczeniu.

Kiedy dookoła wsi trzeszczała palba karabinowa i co chwila wybuchał granat ręczny, nikt nie przejął się specjalnie tą muzyką. Dopiero gdy do pobliskiej Bystrzycy nadjechał niemiecki pociąg pancerny i położył po okolicznym lesie ogień artyleryjski, nawet ludzie zimnokrwiści nie byli pewni, czy wieś nie pójdzie z dymem. Goździowa wyniosła — podobnie jak sąsiadki i sąsiedzi — co cenniejsze rzeczy do sadu. Na chowanie nie było czasu. Obstrzał artyleryjski wywołuje grozę. Niektórzy bywalcy zwierzają się, że budzi on lęk większy niż bombardowanie lotnicze. Wśród nieobytych cywilów, zwłaszcza kobiet, tym bardziej wznieca on popłoch. Ostrzeliwani nowostawiacy słyszeli łomot pocisków, widzieli czarne fontanny wybuchów, oczami przeczucia oglądali pożogę pożerającą ich dobytek, a przy sposobności co wrażliwsi osobnicy czuli, że głowę też można położyć.

Gdy kanonada ustała, okazało się, że pociski artylerii kolejowej padły na ogrody i pola, gdzie podziurawiły ziemię i powietrze. Jeden tylko odłamek pocisku, który padł w sadzie Goździa, trafił w buty Goździowej. Gospodyni ubolewała nad niefortunnym wyróżnieniem losu, ale ludność całej wsi przyjęła wydarzenie inaczej. Rozpiętość między ogromem siły, która niosła zagładę im i ich mieniu, a skutkami jej działania była olbrzymia, przeskok od straszliwych obaw do ulgi ocalenia tak gwałtowny, niespodzianka radosnego zaskoczenia olśniewająca, że na widok cholew poturbowanych odłamkiem ludzie wybuchnęli śmiechem. Był to bodaj jedyny śmiech we wsi od września 1939.

Ten sam dzień był dla pobliskiego Majdanu Krasienińskiego mniej pomyślny. Tam SS-mani podpalali budynki.

Teraz niektórzy nowostawiacy woleli potraktować przypadek Goździowej jako przestrogę. Gdy „schrony" były gotowe, a bezpośrednie niebezpieczeństwo nie nadchodziło, nastąpiła refleksja i niecierpliwość w oczekiwaniu dalszego biegu zdarzeń. Ponieważ we wsi nikt nie umiał znaleźć sam odpowiedzi na pytanie, co jeszcze może nastąpić, chłopi zaczęli nawiązywać rozmowę między sobą. Sposobności dostarczył powrót nauczyciela wiejskiego pana Chmielewskiego, po rannym wyjeździe z Lubartowa. Jego relacja zbladła wkrótce wobec nowin, które inni nowostawiacy przywieźli spod Lublina.

Opowiadania urwały się, gdy nurkowce niemieckie nadleciały od strony Radzynia i rozpoczęły harce. W mgnieniu oka wieśniacy znaleźli się w wykopanych schowkach. Goździowa, która jeszcze nie otrząsnęła się z przeżyć doznanych podczas pacyfikacji czerwcowej, okazywała przygnębienie i wróżyła, że Niemcy zbombardują Nowy Staw przez zemstę za swój odwrót. W jej lamencie było sporo sugestii. Ten i ów zastanawiał się, co można byłoby jeszcze wynieść z domu i obejścia i ocalić przed rozgromem. Tymczasem samoloty zataczały coraz mniejsze kręgi, skupiły się nad drogą z Bystrzycy do Garbowa i z łoskotem broni maszynowej piko-

Dokończenie na str. 10

teatrnn.pl

Kultura 1970

Literatura

* Laureatka nagrody literackiej im. Wilhelma Macha została Zyta Anna Stachurowa za powieść „Najada", drukowaną w maju w „Twórczości". Wydanie książkowe jest już w druku.

* W drewnianej chacie w Husowie koło Łańcuta zostanie utworzone muzeum poświęcone pamięci Jana Raka. Był to chłop pańszczyźniany, żyjący w XIX wieku, zwany przez znawców Rejem polskiej poezji chłopskiej. Był również utalentowanym rzeźbiarzem.

* Istniejące od 14 lat Wydawnictwo Poznańskie specjalizuje się m. in. w wydawaniu literatury państw skandynawskich. Dotychczas ukazało się ponad 500 tytułów w nakładzie 700 tys. egzemplarzy. W przygotowaniu jest antologia opowiadań fińskich oraz norweskich.

* W Olsztynie powstało — jako w ostatnim już mieście wojewódzkim — koło Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy.

* W latach 1944—1969 ukazało się w Polsce 150 tłumaczeń z węgierskiej literatury pięknej w łącznym nakładzie 2,8 mln egzemplarzy.

* Ibolya Surányi, wykładowczyni poetyki na uniwersytecie w Budapeszcie oraz redaktorka programów poetyckich radia węgierskiego, od lat jeździ po swoim kraju i recytuje utwory poetów polskich (klasyków i współczesnych). Oczywiście w tłumaczeniu, ponieważ nie umie ani słowa po polsku, ale twierdzi, że zakochała się w tym, co polskie.

* Laureatem nagrody Akademii Francuskiej za twórczość powieściową został pisarz francuski pochodzenia amerykańskiego 70-letni Julian Green, znany u nas jako autor „Lewiatana" i „Gdybym był tobą".

* W roku ubiegłym wydano w USA 2717 powieści, 1254 zbiory poezji i dramatów, 1486 książek dla dzieci i młodzieży. Ukazało się 134 tłumaczeń z języka rosyjskiego.

* Prasa fińska poświęca wiele uwagi nowemu talentowi pisarskiemu, którym okazał się 27-letni Weie Baltazar, z pochodzenia Cygan. Jego zbeletryzowana autobiografia „Pałaca droga" oraz powieść „Krwawe zaręczyny" zostały ocenione bardzo wysoko.

Teatr

* Lubuski Teatr im. L. Kruczkowskiego wystąpił z polskimi prapremierami sztuk Harolda Pintera — „Lekki ból" i „Krajobraz". Są to zarazem pierwsze zagraniczne inscenizacje tych sztuk, wystawianych dotąd jedynie w Londynie.

* Spektaklem „Irydiona" Z. Krasińskiego rozpoczął się 29 czerwca VIII telewizyjny festiwal teatrów dramatycznych, który potrwa do 7 września. Jako przedostatni w festiwalu wystąpi Teatr im. Osterwy ze sztuką Różewicza „Akt przerywany".

* Nagrodę zespołową — puchar „Panoramy Północy" — na XII Festiwalu Teatrów Polski Północnej w Toruniu zdobył teatr im. Wiliama Horzycy z Torunia „za wybitny wkład artystyczny w tegoroczny festiwal".

* Tegoroczny sezon w Operze Leśnej w Sopocie rozpoczął się wystawieniem dla młodzieży — Fredrowskiej „Zemsty" w wykonaniu Teatru Wybrzeża. W programie sezonu m. in. występy Mazowsza, Śląska, operetki kijowskiej i kilku teatrów warszawskich.

* Jerzy Przeździecki ukończył dla teatru telewizyjnego współczesną sztukę „Świadomość", a pracuje nad sztuką dla Teatru Polskiego w Warszawie „Wariat", komedią obyczajową o filozoficznym podtekście.

* Z rewizytą do warszawskiego „Guliwera" przyjechał teatr lalek z Magdeburga, wystawiając m. in. znaną bajkę R. Kiplinga „Słoniątko".

* Na scenie Teatru Dramatycznego w Warszawie występował Teatro Stabile z Genui, pokazując Goldoniego „Jeden z ostatnich wieczorów karnawału".

* Następny festiwal sztuk polskich w Związku Radzieckim odbędzie się w latach 1973—1974.

* Podczas kolokwium, zorganizowanego w Nowym Sadzie przez Międzynarodowe Stowarzyszenie Krytyków Teatralnych, postanowiono m. in. powołać ośrodek upowszechniania nowych sztuk krajów, których języki są mniej znane, a więc do których dostęp jest utrudniony. Następne kolokwium, poświęcone teatrowi i telewizji, odbędzie się w Warszawie.

Sztuka

* Na międzynarodowym biennale karykatury „Myślistwo i Wędkarstwo" w Nowym Sadzie pierwszą nagrodę otrzymał Szymon Kobyliński.

* Laureatem konkursu malarskiego „Kraków — ludzie i okolice" został krakowski plastyk Andrzej Nowak.

* W Muzeum Archeologicznym i Etnograficznym w Łodzi otwarto wystawę „Uzbrojenie dawnej Japonii".

* Dyrekcja Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego w Dębicy zakupiła 400 reprodukcji wybitnych dzieł malarstwa światowego, które rozwieszono w pokojach biurowych i w halach fabrycznych. W wyniku dużego zainteresowania załogi zawarto porozumienie z BWA celem periodycznego urządzania wystaw plastycznych w fabryce.

* „Sztuka metalowa Rumunii w ciągu 400 lat" — tak brzmiał tytuł wystawy, która odbyła się w Paryżu i wzbudziła wielkie zainteresowania wśród znawców.

* Przed 32 laty Picasso zaprojektował wzór wielkiego gobelinu, jednak nikt nie chciał podjąć się realizacji tego dzieła. Dopiero ostatnio Pierre Baudouin z miejscowości Gobelin wykonał go na krosnach „Dames a la toilette". Sam Picasso powiedział, że Baudouin wydobył wszystkie niuanse kolorystyczne, refleksy światła i kontrasty i że wobec tego zaprojektuje mu dalsze gobeliny.

* W okolicach Salerno we Włoszech odkryto grobowce antycznego miasta Paestum, a w nich wspaniale zachowane malowidła z IV wieku przed n. e.

* Na wyspach archipelagu Karoliny w Mikronezji odkryto resztki wielkich budowli, budowanych z głazów przez nie znanych dotąd ludzi. Podobne wykopaliska znaleziono dotychczas tylko na Wyspach Wielkanocnych.

Muzyka

* 9 lipca rozpoczął się w Dusznikach jubileuszowy XXV Festiwal Chopinowski. Patronuje mu Prezes Rady Ministrów Józef Cyrankiewicz.

* W Krakowie odbyto się polskie prawykonanie „Jutrzni" Krzysztofa Pendereckiego. Partie solowe wykonali: St. Woytowicz, K. Szczepańska, K. Pustelak, B. Ładysz i bas włoski B. Carmeli. Chórami dyrygowali J. Katlewicz i A. Pałka.

* Bardzo bogaty jest program tegorocznego V festiwalu oratoryjno-kantatowego we Wrocławiu „Wratislavia Cantans", który odbędzie się w dniach 25—30 sierpnia. M. in. wystąpią zespoły z Czechosłowacji i Finlandii.

* XIV Warszawska Jesień odbędzie się w dniach 13—27 września. Program przewiduje kilka światowych prawykonań. Wystąpi od kilku lat nie słyszana w Polsce Wielka Orkiestra Symfoniczna Wszechzwiązkowego Radiokomitetu z Moskwy.

* Wprawdzie z półrocznym wobec jubileuszu opóźnieniem, ale w pięknej formie wydany i zawierający wiele cennego materiału — ukazał się album „Opera Poznańska 1919—1969" w opracowaniu J. Waldorffa.

* Józef Wilkomirski, od 13 lat dyrektor i kierownik artystyczny Filharmonii Szczecińskiej, obchodzi 20-lecie pracy dyrygenckiej. To on jest inicjatorem popularnych koncertów dla wczasowiczów w Międzyzdrojach i Świnoujściu.

* Ponad tysiąc delegatów z 40 krajów bierze udział w światowej konferencji na temat wychowania muzycznego, która odbywa się w Moskwie. W ZSRR istnieje 25 konserwatoriów i 223 wyższe szkoły muzyczne.

* W grudniu w operze budapeszteńskiej ma się odbyć prapremiera opery, której librettem będzie słynna „Tragedia człowieka" Imre Madacha. Muzykę opracowuje kompozytor Gyeorgy Rankl.

Film

* Aleksander Ścibor-Rylski napisał scenariusz „Gniazda" dla Jana Rybkowskiego. Jest to próba historycznego portretu Mieszka I. Na jesieni pisarz zamierza rozpocząć powieść z życia filmowego.

* W drugiej połowie lipca odbędzie się w Karlovych Varach międzynarodowy festiwal filmowy z udziałem kinematografii 22 krajów.

* W Nowym Jorku odbyła się prapremiera filmu „Let it be", będącego jakby skrótem dotychczasowej działalności słynnego zespołu Beatlesów. Muzyka w tym filmie zajmuje 88 minut więc zwolennicy zespołu są w pełni usatysfakcjonowani.

Różne

* Na wystawie książek o tematyce leninowskiej w Katowicach można było podziwiać dwie książeczki o rozmiarach 9×12 mm i 3,5×4 mm, wykonane lilipucim pismem przez architekta inżyniera Zygmunta Szkocnego.

* Zakopiański festiwal folkloru ziem górskich przynosi dalsze efekty. Zespół im. Klimka Bachledy został zaproszony do ZSRR, zespół im. Bartusia Obrochty do Austrii i Włoch, zespół „Podegrodzie" do Francji.

* Ludwik Jerzy Kern napisał kilkanaście fraszek, które w czynie społecznym przekazał do wymalowania na tablicach dla przechodniów, niszczących zieleń w krakowskim Zwierzyńcu. Może ta forma powstrzyma wandali?

* Centralny zespół artystyczny Wojska Polskiego występował na Węgrzech, zyskując ogromny aplauz u zawsze wypełnionej widowni.

* Najbardziej popularny w Szwajcarii klub kulturalny 44 kantonu Neuchatel zorganizował wspólnie z ambasadą PRL cykl imprez poświęconych naszemu krajowi.

* Wskutek obcięcia dotacji państwowych kanadyjskie zespoły teatralne, taneczne i orkiestry znalazły się w obliczu bankructwa. Mimo usilnych zabiegów przemysł nie chce świadczyć na rzecz kultury. W roku ub. 229 największych przedsiębiorstw dało w sumie 782 tys. dolarów, co jest tylko znikomym procentem ich olbrzymich dochodów.

* Jak stwierdził libański Pencluh władze izraelskie całkowicie uniemożliwiły działalność kulturalną pisarzom palestyńskim. Pisma zostały zamknięte, część pisarzy deportowano, część uwięziono, próby upowszechniania jakichkolwiek utworów są surowo karane.

* Jean Paul Sartre został aresztowany na ulicy Paryża w chwili, gdy rozdawał maoistowskie materiały propagandowe.

* Frank Sinatra skończył już 55 lat, ale ani myśli zejść ze sceny. Ostatnio występował w Londynie, ze średnim zresztą powodzeniem. Podróżuje własnym samolotem odrzutowym, zatrudnia wokół siebie 75 osób, w tym fryzjerkę, która stale czuwa nad jego łysiejącą czupryną. Mając uraz psychiczny, że źle się ubiera, zmienia odzież 5—7 razy dziennie.

Ta Francuzeczka Marilu Toto miała być architektem. „Pewnego dnia zdałam sobie sprawę — powiedziała w wywiadzie — że mogę zostać aktorką, nic nie tracąc ze swej kobiecości".

Kamena str. 2

Kosztowna monarchini

TYM razem nieco odpoczniemy od wielkiej polityki. Konserwatyści wygrali wybory w Wielkiej Brytanii, jeszcze nie czas, aby oceniać ich posunięcia na arenie międzynarodowej, na razie zresztą mają poważne kłopoty z Belfastem. Niezależnie jednak od tego, kto faktycznie sprawuje władzę na Downing Street 10, Dwór Królewski żyje swoimi sprawami i zachowuje się tak, jakby czas zatrzymał się w miejscu.

Ktoś — pisze „Observer Review" — kto zostaje zaproszony na oficjalny bankiet w Pałacu Buckingham jest świadkiem najbardziej skomplikowanego średniowiecznego ceremoniału.

W Sali Balowej, na stolikach przy ścianach, pozłacana zastawa i butelki najlepszego wina. Na wielkim stole w kształcie podkowy — porcelana z czasów Ludwika XV, z ozdobami w jasnozielonych barwach.

Starsi kamerdynerzy mają czarne liberie ze złoconymi wypustkami, białe spodnie do kolan, białe pończochy i czarne pantofle z klamrami. Lokaje natomiast są ubrani w liberie szkarłatne ze złotem, w spodnie do kolan i pończochy różowe.

Członkowie Rodziny Królewskiej oraz honorowi goście przechodzą w uroczystym orszaku z Sali Koncertowej do Sali Balowej, a gdy zbliżają się do drzwi tej sali Wielki Szambelan i Marszałek Dworu odwracają się twarzą do Królowej i, cofając się, wchodzą do sali.

...Przy stole, po obu stronach krzesła Królowej, znajdują się dwa, dyskretnie umieszczone, wśród kwiatów światła: zielone i czerwone. Jeden z kamerdynerów stojących za krzesłem Królowej włącza lub wyłącza te światła, sygnalizując w ten sposób usługującym do stołu lokajom, kiedy mają podawać — jednocześnie wszystkim gościom.

To połączenie średniowiecznego ceremoniału z najnowocześniejszymi urządzeniami jest charakterystyczne dla całego funkcjonowania Dworu Królewskiego. Ten dwór — to doskonale działająca, zamknięta w sobie, organizacja, której członkowie nie dyskutują nad tym, czy to, co robią, jest rzeczywiście potrzebne, czy niepotrzebne. Przez długie lata nie podawano do wiadomości publicznej liczby osób zatrudnionych przy Dworze Królewskim, w Pałacu Buckingham i w innych pałacach. Jednakże od niedawna ten zwyczaj otaczania wszystkiego, co jest związane z Dworem, ścisłą tajemnicą, ulega powoli zmianie.

...Cały personel zatrudniony w pałacach królewskich jest ściśle podzielony na dwie grupy — na Personel Dworski, to jest tych, którzy kontaktują się bezpośrednio z Królową oraz na Służbę Pałacową. Każda z tych grup ma oddzielne sale jadalne. Członkom Personelu Dworskiego usługują paziowie i lokaje. Sami natomiast lokaje i inni członkowie Służby Pałacowej mają do dyspozycji samoobsługową „kantynę", gdzie mogą nabywać trunki po cenach hurtowych oraz różne gotowe posiłki.

Wszystkie funkcje i zadania są ściśle określone i podzielone, nikt nie może, ani nie chce, spełniać funkcji, które do niego nie należą.

...Ogółem w Pałacu Buckingham pracują 422 osoby, a ich pensje opłacane przez Królową, wynoszą 300 tys. funtów rocznie.

...Około 100 osób podróżuje z Królową, gdy udaje się ona do którejś ze swych innych rezydencji. Jeśli udaje się gdzieś oficjalnie, towarzyszy jej zawsze cała gromada fotografów i co najmniej cztery osoby Personelu Dworskiego, detektyw, koniuszy, dama dworu i sekretarz osobisty

...Damy dworu pochodzą ze starych rodzin arystokratycznych. Ich mężowie, ojcowie i bracia są zawsze byłymi uczniami ekskluzywnych szkół średnich... Damy dworu muszą się ubierać elegancko, ale dyskretnie, są zawsze przystojne, ale nigdy piękne, muszą mieć nienaganne maniery i, oczywiście, mieć takie zainteresowania, jakie ma Królowa.

...Jeśli chodzi o polityczną działalność Królowej, zajmuje się nią osobisty sekretarz — podpułkownik Sir Michael Adeane. Gdy miał 13 lat i studiował w Eton, został mianowany honorowym paziem Króla Jerzego V, a w roku 1937, gdy miał 26 lat — został zastępcą sekretarza osobistego króla Jerzego VI. Tak więc od najmłodszych swych lat Michael Adeane pracuje przy Dworze. W sferach dworskich i rządowych jest uważany za tak samo zdolnego człowieka, jak jego dziadek ze strony matki — lord Stamfordham, który był sekretarzem osobistym Królowej Wiktorii, a później i Króla Jerzego V. Jerzy V mówił o lordzie Stamfordhamie: „To człowiek, który nauczył mnie królewskiego rzemiosła".

Jak wiadomo, w czasie pierwszej wojny światowej brytyjska Rodzina Królewska zmieniła swoje rodowe nazwisko Sachsen-Koburg na Windsor. Otóż właśnie Stamfordham doradził tę zmianę i wynalazł w archiwach królewskich dokumenty stwierdzające, że jeden z przodków panującej obecnie dynastii, Edward III, który zasiadał na tronie angielskim w latach 1327—1377, był nazywany Edwardem z Windsoru.

Obecnie mało jest okazji do tego, by Sir Michael Adeane mógł wywierać jakiś wpływ na Królową lub księcia Filipa przy podejmowaniu przez nich decyzji natury politycznej. W każdym razie takich okazji jest znacznie mniej niż za panowania Królowej Wiktorii, Króla Edwarda VII i Jerzego V. W każdym razie sekretarz osobisty Królowej Elżbiety II konferuje z nią codziennie w sprawach dotyczących jej oficjalnych wystąpień lub w sprawach protokólarnych. Oprócz tego, co sześć miesięcy, odbywają się specjalne narady, na których Królowa Elżbieta, książę Filip i Michael Adeane omawiają wiele spraw dotyczących życia dworskiego i podejmują odpowiednie decyzje na następny okres półroczny.

Ostatnio na przykład odbyła się tego rodzaju narada na temat stanowiska, jakie ma zająć Rodzina Królewska i Dwór w szeroko dyskutowanej przez prasę i telewizję oraz w kołach politycznych sprawie apanaży królewskich i dochodów członków Domu Królewskiego.

Na ten temat w prasie i w telewizji pojawiło się ostatnio sporo nieścisłych informacji. Ogłoszono wobec tego kilka oficjalnych komunikatów, dworskich i rządowych, z których wynika, że Królowa nie płaci podatków od swych dochodów z listy cywilnej wynoszącej 475 tys. funtów rocznie. Tak samo następca tronu, książę Karol, nie płaci podatków od dochodów, jakie ma z Księstwa Kornwalii, wynoszących 220 tys. funtów rocznie. Jednakże, zgodnie z precedensem ustalonym w okresie międzywojennym przez Księcia Walii, Edwarda, późniejszego Króla Edwarda VIII, wpłaca połowę tej sumy na tzw. Skonsolidowany Fundusz Rządowy. Królowa płaci natomiast podatki od wszystkich swych dochodów prywatnych, ale z jej majątku nie pobiera się podatku spadkowego. Wszyscy inni członkowie Rodziny Królewskiej płacą podatek dochodowy od swych wpływów i ich majątek jest obciążany podatkiem spadkowym przy jego dziedziczeniu przez kogokolwiek. W razie śmierci Królowej Elżbiety cały jej majątek prywatny otrzyma książe Karol nie płacąc podatku spadkowego.

Królowa ma oficjalne rezydencje — pałace Buckingham, Windsor, Sandringham i Balmoral — stanowią jej własność prywatną i płaci ona osobiście za ich utrzymanie. Koszty utrzymania pozostałych pałaców ponosi rząd i w 1969 r. wyniosły one 660 tys. funtów. Są to trzy pałace — Kensington, Pałac św. Jakuba i Hampton Court, przeznaczone na rezydencje dla gości rządowych i królewskich. Najwyższe są koszty utrzymania Pałacu Buckingham — ok. 300 tys. funtów rocznie.

...Od 1947 r. rząd płaci koszty utrzymania ogrodów i parków przy wszystkich rezydencjach i pałacach Królowej, a od 1951 r. pokrywa rachunki za prąd elektryczny oraz koszty połączeń telefonicznych. Opłaty pocztowe za korespondencję Królowej, koszty utrzymania jachtu królewskiego i koszty wszystkich podróży służbowych również ponosi rząd.

Ostatnio w niektórych kołach politycznych oraz w prasie wysuwane jest coraz częściej żądanie, by majątek Królowej przy przejściu na spadkobierców był obciążony podatkiem spadkowym i by zamiast wypłacania listy cywilnej rząd pokrywał wszystkie faktyczne koszty utrzymania Monarchii w Wielkiej Brytanii.

Dodajmy, że koszty te wynoszą rocznie ponad 2,5 miliona funtów szterlingów.

Uff! Jak to dobrze, że Polska nie jest królestwem! Strach pomyśleć, ile mielibyśmy z tego tytułu kłopotów i dodatkowych wydatków...

(l)

P. S. Czytelnik zapewne zauważył, że w tym materiale jest szczególna rozrzutność przy stosowaniu dużych liter!

Za Bugiem

W „MAŁEJ Encyklopedii Powszechnej" PWN na stronie 1005 czytamy: „Wasyl Stefanyk (1871—1936), pisarz ukraiński; nowele o niedoli chłopstwa galicyjskiego; przyjaciel W. Orkana". Wasyl Stefanyk znany jest w literaturoznawstwie jako najbardziej oryginalny nowelista ukraiński, piszący z dużą domieszką gwary pokuckiej. W Polsce natomiast pamięta się o jego przyjaźni z W. Orkanem — obaj opisywali wieś, obu żywo obchodziła niedola chłopów. Powojenny czytelnik polski miał okazję zapoznać się z jego twórczością, bo „Czytelnik" wydał w tłumaczeniu „Utwory wybrane" W. Stefanyka w latach pięćdziesiątych.

W Kijowie ukazała się ostatnio książka, w której zebrano artykuły, wypowiedzi i wspomnienia o Stefanyku ze wstępem i w opracowaniu doc. F. Pohrebennyka [1]. Część owych materiałów drukowana jest po raz pierwszy; rzucają one nowe światło na twórczość i osobowość pisarza, w tym również na jego polskie przyjaźnie.

Pierwsze wypowiedzi w Polsce o twórczości W. Stefanyka wyszły spod pióra jego przyjaciela — Wacława Moraczewskiego, o którym Stefanyk w swej autobiografii powiedział: „Wacław Moraczewski — to moja droga w świat". W tym zbiorku wydrukowano fragment jego artykułu z „Życia" (1899) oraz wspomnienie (wydrukowane po raz pierwszy). Czytamy tu m. in.:

„Twórczość Stefanyka jest niepowtarzalna. Tematycznie podobna jest do wielkich utworów europejskich, posiada jednak nie tylko swe własne przymioty, jedyną w swoim rodzaju liryczność, ale też ideą przewodnią im dorównuje. Ideą przewodnią jest tutaj pogodzenie się z życiem, uświadomienie sobie wspólnoty każdego losu człowieczego i poszanowanie tego losu, a nawet miłość do niego i zrozumienie". Jest to głos człowieka, który przez ponad 40 lat niezmiennie przyjaźnił się z pisarzem ukraińskim i zrobił najwięcej dla spopularyzowania jego wybitnej twórczości.

Dzięki W. Moraczewskiemu Stefanyk zbliżył się do Stanisława Przybyszewskiego. W tym zbiorku opublikowano również fragment jego wypowiedzi o Stefanyku zaczynający się od zdania: „Wasyl Stefanyk to jeden z najpiękniejszych momentów w moich wspomnieniach". O pierwszym zetknięciu się z jego twórczością w r. 1899 pisze: „To, co przeczytałem, było dla mnie od razu odkryciem wielkiego talentu. Będąc wychowanym na literaturze europejskiej, byłem po prostu zdumiony, jakiego odkrycia dokonałem". A dalej: „Jego talent mnie naprawdę zachwycił. Był on taki życiowy, taki jędrny i żywiołowy, że Gorki wydawał mi się nawet nieco słabszy". St. Przybyszewski jako redaktor „Życia" również wiele uczynił dla popularyzacji Stefanyka nie tylko wśród czytelników polskich.

Z omawianego zbiorku dowiadujemy się również, że pierwszym językiem, na który tłumaczono Stefanyka, był język polski, a dopiero później ukazały się tłumaczenia na język czeski (1905), rosyjski (1907) i inne.

Recenzentka tej książki w „Literaturnej Ukrajinie" z 15 maja 1970 r. ocenia omawiane wydanie jako „cenny wkład do ukraińskiego literaturoznawstwa radzieckiego". Książkę z ciekawością i korzyścią przeczytają również polonisci, a także wszyscy ci, których interesują stosunki polsko-ukraińskie w dziedzinie kultury i literatury.

Literaturoznawstwo ukraińskie przygotowuje się do obchodów 100 rocznicy urodzin W. Stefanyka w r. 1971. Książka w opracowaniu F. Pohrebennyka w dużej mierze toruje drogę dalszym pracom nad jego twórczością.

M. L.

[1] Wasyl Stefanyk u krytyci ta spohadach, uporiadkuwannia wstupna stattia ta prymitky Fedora Pohrebennyka, Kijów 1970, s. 482.

Taki był Konrad

CHOĆ śmierć nie jest czymś niezwykłym, to jednak napis „Konradowi Bielskiemu" umieszczony nie w dedykacji wiersza, lecz na żałobnej szarfie, budzi uczucie buntujące się przeciw rzeczywistości. Już nie przez ogrom straty osobistej, jaką poniósł każdy z Jego przyjaciół, ani straty dla miasta, którego panoramy był jakże charakterystycznym elementem. Budzi uczucie buntu — chciałoby się powiedzieć — ze względów logicznych. Ten człowiek, o którym nie można pomyśleć inaczej, niż jak o żywym, posiadający smak życia w wymiarze dionizyjskim, rozkochany w jego urodzie wraz z niepowtarzalnością jego szczegółów, utrudnia nam swój obraz w tonacji nakreślonej powagą śmierci. Wszelkie przeciwieństwo życia nawet tak niewielkie i powszednio spotykane jak biurokratyczne skostnienie było Konradowi Bielskiemu czymś obcym, sprzecznym z naturą Jego postawy chętnej człowiekowi, czynnej dla wszystkiego, co formuje wśród ludzi serdeczny związek.

Z tymi słowami jesteśmy przy poezji. Wszedł w nią Konrad początkowo zafascynowany jej możliwością spełnienia młodzieńczej osobowości, pozostał przy niej jako orientacji filozoficznej. Ten człowiek realnie tkwiący w swym czasie, w kontekście spraw swego środowiska, tak przecież wrażliwy na autentyczność życia, żadnego z jego objawów nie przyjmował inaczej, jak tylko przez zawartość tkwiącego w nim piękna. Czyżby sprzeczność? Czy z jednej strony pełnia aprobaty dla życia „takiego, jakie jest", a z drugiej wyczulenie na wysublimowaną jego postać? Konrad był empirykiem. Uważał, że piękno istnieje konkretnie, nie tylko jako kategoria w kontekście uczonych rozważań i przykurzonych bibliotecznych regałów, które również kochał. Jego umiłowanie natury, czemu w swej twórczości nie dał zresztą pełnego wyrazu, nieraz kazało Mu zatrzymać samochód nad łąką, by kontemplować sianokosem przycięty urok młodego lata, nad brzegiem lasu, gdy falą przedwieczornej woni wchodzi w płuca sosnowy zagajnik.

Poezja. Poezja Konrada to nie tylko wyznacznik Jego postawy życiowej, nie tylko zasób wierszy, które sam napisał — a któż zorientowany w literackiej tradycji Lublina nie słyszał „Ody do alkoholu", czy „Dytyrambu szatańskiego" — ale również bogaty magazyn Jego pamięci zachowujący całe bogactwo poezji światowej i polskiej bynajmniej nie w charakterze nobliwego, ale nieruchomego ładunku. Bardzo często Bielski jak butelkę z piwnicy wydobywał wino Leśmiana, czy wino Puszkina (ileż poetyckich napoi marki już dziś nieznanej!) i nastrój towarzyski doznawał przedłużenia w obcowanie z pięknem ukrytym w myśli i słowie. Nie miał Konrad dobrej dykcji. Ale dla niejednego z Jego znajomych i przyjaciół każda z takich produkcji była koncertem granym na instrumencie poetyckiego słowa. Tyle było trafności wyboru, tyle osobistego zaangażowania Mistrza kochającego chwilę, rozgwar męskiego grona i dobry dowcip.

A satysfakcją było uczestniczyć w rozmowie z Konradem. Oczywiście — głęboka humanistyczna orientacja, oczywiście — rozległa wiedza za każdym razem aktualizowana w sposób ciekawy i jakże trafnie nawiązujący do okoliczności. Ale chyba najdokładniejszym określeniem atrakcyjności, z jaką przychodziło rozmawiać z Konradem, było to uczucie jakiego doświadczamy zwykle znajdując się w ciekawej bibliotece i mając dostęp do wszystkich półek z poezją, muzyką, teatrem, historią myśli ludzkiej. Był właśnie Kondzio czymś w rodzaju „grającej szafy" na okoliczność i Mickiewicza i Strawińskiego i greckiej rzeźby i perypetii Marysieńki Sobieskiej. Trudno uwierzyć, by sam Franc Fischer miał więcej takiego zajęcia.

A jakże olbrzymi — jak na pojemność jednego człowieka — rezerwuar wiedzy o wszystkim, co dotyczy Lublina. Lublina literackiego, Lublina kulturalnego, Lublina obyczajowego. Wystarczyło napomknąć szczegółik z tych dziedzin, a pamięć Bielskiego ciągnęła cały tekst informacji wzbogacając samo pytanie o obszary jakże osobliwe, a dopiero przy jego udziale odkrywane w swej ciekawości. Można powiedzieć, że dekonspirował przeszłość naszego miasta na zasadzie intrygującej, bo mającej coś z plotkarstwa. Plotkarstwa, które nie obraca się przeciw dobremu imieniu, ale na odwrót: plotkarstwa chciwego, pełnego bogactwa szczegółów, całego kostiumu anegdoty — przez sympatię dla ludzi i ich spraw, przez rozumiejące pobłażanie dla ich śmiesznostek. Jakże uboższy z ubytkiem Bielskiego stał się Lublin mówiony, Lublin kawiarnianej werandy. Bo nawet słowu „kawiarnia" osoba Bielskiego odbiera pospolicie pejoratywny sens.

Przepraszam za ten czas teraźniejszy. Wróćmy do perfectum. Do perfectum, które sprawia, że już żadne zawiadomienie o zebraniu lubelskich literatów nie spowoduje pojawienia się sylwetki tej trochę nieforemnej, trochę niesymetrycznej, z jowialnym gestem wkraczającej in medias lubelskich literackich res. Ale czy słowo „był" wystarczająco określa charakter tego Człowieka i Jego znaczenie dla życia literackiego naszego miasta? Niczego przecież, co w nim pomyślne, pożyteczne i żywe, nie da się odłączyć od pamięci Jego osoby, wszystko co twórcze znajduje się blisko tego imienia i tego Nazwiska utrwalonego niejednym lubelskim drukiem. A Lublinowi tak właściwego, jak sylwetka Krakowskiej Bramy, czy widoczny z dala zarys kościoła bernardynów.

Jeśli zaś chodzi o jedyny i niepowtarzalny urok rodzinnego miasta... Pamiętam, że rozmawiając kiedyś w okresie uroczystości czechowiczowskich i nie będąc pewnym wystarczalności słów, utkwiłem wzrok w architekturze chmur zbierających się gdzieś nad muzeum, nad tym fragmentem miasta, który był kiedyś terenem naszej młodości. Wybacz Konradzie, nie pamiętam już o czym mówiliśmy. Dla mnie ważne że — z Tobą.

Zygmunt Mikulski

Konrad Bielski

Do przyjaciół

Minął szereg lat.
Cień nam na głowę padł.
Opadły ręce.
Wszystko przed nami jeszcze tak daleko!...
Za każdym krokiem czuje się zmęczenie.
Kiedy nareszcie popłyniem tą rzeką,
która daje zapomnienie...

Ci, co szli z nami, zostali w tyle.
Niewielu już przed nami.
Nam pociągi skandują minione chwile,
huczą motory pieśnią upojenia,
a nasze spojrzenia
wciąż są gwiazdami.

Szklana tafla zdarzeń rozbija się o czoła.
Sejsmografy notują drżenie wśród czerni.
Stamtąd nikt nie woła...
A my wciąż wierni!
Winem złotawym, szklanką czystej wódki
otumaniamy głowy.

Przerzucamy myśli na inne platformy.
Tworzymy nową treść, nowe formy.
Siły mierzymy na zamiary.
Mamy wytknięte cele,
A wciąż ścigają nas przeszłości mary
I wciąż nas tak mało, przyjaciele!

I nic się więcej stać nie może
Prócz tego, co się stało,
Innym to starczy,
Nam wciąż za mało,
Palcami anten przebiegamy nieba klawiaturę.
Szukamy w głębi ziemi z różdżką w dłoni.
W morzach zanurzamy stalowe łodzie.
Hukiem motorów płoszymy chmury.
Mamy miliony stalowych koni

I wszystko na przeszkodzie.

Nocą siedzimy wśród stuku maszyn.
Piszemy książki i gazety,
A kiedy wyjdziem na ulicę,
Widzimy, że zamknięte jeszcze okiennice
I wciąż daleko do mety.

Ścieżki nasze, po których kroczym,
Zarosły chwastem.
Ciągle mamy utkwione oczy
W szlak ponad miastem.
Życie młotami czoła nam gniecie,
Na twarze rzuca zasłony.

My wciąż czekamy, aż nas oświeci
Głos z tamtej strony.

1932

Pustka, żal i serdeczna pamięć

KONRADA Bielskiego znałem niewiele więcej niż dziesięć lat. Nie jest to mało, ale i nie za dużo. Kilkakrotnie bowiem przekonałem się, iż moje portrety ludzkie, jakie próbowałem tworzyć, odbiegają czasem w zasadniczych rysach od wyobrażeń innych, którzy znali tych ludzi we wcześniejszych okresach życia. Kim innym był Konrad Bielski w czasach „Reflektora", inaczej wyglądał Jego żywot jako krasnostawskiego adwokata, a jeszcze — chyba — inaczej w ostatnich kilkunastu latach, kiedy Go poznałem. Nie potrafię uchwycić w czasie momentu poznania. Na pewno był to przelotny uścisk ręki przy pierwszym zetknięciu na którymś ze spotkań literackich w siedzibie Związku Literatów, czy w redakcji „Kameny", co wówczas na jedno wychodziło. Całkiem wyraźnie pamiętam Jego sylwetkę z wieczornicy, poświęconej J. N. Kłosowskiemu. Ja — bez doświadczenia oratorskiego — miałem mówić o twórczości Kłosowskiego, Bielski zaś miał ukazać jego sylwetkę od strony wspomnień, zwłaszcza z czasu, kiedy przed wojną pracowali jednocześnie na terenie Krasnegostawu. Jak zawsze, tak i wtedy Jego przemówienia słuchało się z uwagą i przyjemnością. Było na wskroś własne, osobiste, przesycone subiektywizmem gawędy.

Nim zetknąłem się jednak z Konradem Bielskim, nazwisko Jego było mi doskonale znane, a dla nas — w latach pięćdziesiątych — już piszących, ale jeszcze odbywających dolę studencką, był On postacią legendarną i symboliczną. Czechowicza wielu ludzi poznawało wcześniej z opowieści jego przyjaciela niż z lektury wierszy. Po wydaniu „Mostu nad czasem" i książek innych autorów o Lublinie międzywojennym, a także publikacji o awangardzie, łatwo można zagłębić się w literackie sprawy tamtego czasu. Ale zanim powstał „Most nad czasem", trzeba się było po prostu umówić z Konradem Bielskim i dzięki Jego opowieści zanurzyć w przeszły czas. Ileż razy opowiadał o „Reflektorze", Czechowiczu, o ciekawych ludziach i zdarzeniach. Wystarczyło jedno pytanie, aby uruchomić mechanizm pamięci i wyzwolić bogatą strugę wspomnień. Nie wiadomo, czy te rozmowy ograniczały aktywność pisarską, czy ją pobudzały. Może właśnie poprzez te wielokrotne opowieści komponowały się rozdziały książek, może one wywoływały reakcję łańcuchową i wydobywały przeszłość z zapomnienia.

Można jednak mówić także o pewnej rozrzutności, o hojnym gospodarowaniu czasem. Tak by przynajmniej mógł mówić ktoś nawykły do regularnej i systematycznej pracy. Bielski do takich nie należał. Czy to zarzut? Nie, Bielski bywał poetą i pisarzem. Pamiętać trzeba, że służył nie tylko muzom, ale i bogini sprawiedliwości i to, jak potwierdzą kompetentni ludzie, służył dobrze i z całym oddaniem. Kto wie też, czy gawędy Bielskiego i styl Jego prozy nie narodził się właśnie na sali sądowej. Z całą zaś pewnością Jego gawędy mówione wiele praktyce adwokackiej zawdzięczają. Książka, która znajduje się w druku, przyniesie dalsze potwierdzenie: sala sądowa dostarczyła również wiele ciekawego pisarskiego materiału, jego część czytelnicy „Kameny" mogli już byli poznać.

Ale Konrad Bielski był przede wszystkim poetą i sam za poetę się uważał, choć źródła poezji Jego wyschły bardzo dawno. Można powiedzieć inaczej: powstały i zamknęły się w swoim naturalnym czasie. Nie próbował za wszelką cenę kontynuować dawnej poetyki w zmienionych warunkach. Dzięki temu poezja Bielskiego, a właściwie garść wierszy i poematów, przedstawia się jako zjawisko jednolite, nie zniekształcone innymi domieszkami. Należy ona i do historii futuryzmu, i do historii awangardy i chociaż miejsce Bielskiego jest skromne, ale istnieje niezaprzeczalnie. Przedwojenna twórczość Bielskiego zachowała świeżość i siłę oddziaływania, w przeciwieństwie do wielu głośniejszych ongiś utworów. Nie na darmo Czechowicz, układając swoją antologię poetycką, pisał do S. Czernika: „Gałczyńskiemu np. wyznaczyłem miejsce na 4 wiersze, a Iwaszkiewiczowi — na jeden, Bielskiemu na trzy — Czuchnowskiemu na cztery" [...]

W „Poezji" nie tak dawno pisałem o poezji Bielskiego, próbowałem tam uchwycić jej cechy i wskazać na jej miejsce w nurcie awangardowym. Nie ma potrzeby powtarzać się na tym miejscu. Chodzi bowiem raczej o ogólny rzut całej postaci Zmarłego Pisarza. Wspomniałem, iż Bielski nie należał do pisarzy pracujących systematycznie. Miał naturę cygańską, toteż i dawniej raczej żył poezją niż dbał o jej kształt zewnętrzny. Ileż razy w przedwojennej prasie literackiej można napotkać ogłoszenia i informacje o mającym się ukazać tomiku wierszy pt. „Krew i whisky". Wiersze i poematy z tamtego czasu ukazały się dopiero po przeszło trzydziestu latach.

Żył poezją — na pewno. Tylko uczestnicy kameralnych spotkań przy napoju, do którego Konrad Bielski pisał nieraz ody, chętnie recytowane współbiesiadnikom, wiedzą i pamiętają, jak świetnie On recytował, jak fenomenalną miał pamięć, jak niewyczerpane zasoby zapamiętanych tekstów. A znajdowały się tam i „Strefa" Apollinaire'a w oryginale i przekładzie Ważyka i Błok, i poeci rzymscy. I, oczywiście, Czechowicz.

Może nie zawsze docenialiśmy Jego obecność pośród nas. Dopiero po śmierci Konrada Bielskiego będziemy się nieraz przekonywać, jak bardzo Go brak. Był nie tylko pisarzem, ale bogatą osobowością, barwną i niepowtarzalną. Stanowił, dla młodszych, pomost między dawnymi a nowymi laty, był żywą legendą. Podkreślał to zresztą i lubił być w tej roli. Jeszcze na kilka dni przed swoją śmiercią uczestniczył w uroczystości rozdania nagród w konkursie im. Józefa Czechowicza, pilśmy Jego zdrowie jako jednego z ostatnich przyjaciół autora „nuty człowieczej". Ale naprawdę już tego zdrowia nie miał. Wylew krwi do mózgu przed laty zachwiał Jego wyglądem fizycznym, wpłynął na tryb życia. Niedawna śmierć żony jeszcze bardziej Go podcięła. Toteż w ostatnich tygodniach i dniach nie czuł się dobrze, obojętniał na świat, odeszła Go ochota pisania, mimo że jeszcze nie tak dawno myślał o ułożeniu nowych szkiców i wspomnień w książkę.

Odejście Konrada Bielskiego odczułem osobiście i głęboko. Zawsze mogłem liczyć na rozmowę z Nim, na Jego pamięć, na komentarz o tym czy owym zdarzeniu, na informację o przeszłych sprawach. Spotykałem się z Nim często, niejedną godzinę spędziliśmy na rozmowach i pogawędkach na ławce w nałęczowskim parku lub częściej na tarasie kawiarni w Pałacu Małachowskich. Czasem towarzyszyła Mu żona, kiedy indziej dosiadał się ktoś znajomy. Ale słuchaliśmy przede wszystkim Konrada Bielskiego.

W czasie jednego z ostatnich spotkań dał mi do przeczytania „Trawę zapomnienia" Walentina Katajewa. Zachęcał gorąco do lektury, mówił, że On sam ją bardzo przeżył, pozostawał pod jej wrażeniem i bardzo chciał kiedyś ze mną na temat tej książki porozmawiać. Nie spieszyłem się z lekturą, nie było — prawdę mówiąc — na to czasu, ale bardzo chciałem zadośćuczynić Jego życzeniu. Nie przypuszczałem, że już o „Trawie zapomnienia" nie będę mógł z Nim rozmawiać i że tak niedługo w tę trawę zapomnienia sam zacznie się zapadać. W dawnym wierszu „Do przyjaciół" zapytywał:

Kiedyż nareszcie popłyniem tą rzeką,
która daje zapomnienie...

Łatwiej było stawiać takie pytania, kiedy do ostatniego portu daleko, kiedy to dotyczyło poezji a nie życia. Czy ponawiał później podobne pytania? Na pewno tak. Przygotowywał się do odejścia, podejmował odpowiednie kroki i decyzje. Ale dla Jego przyjaciół śmierć ta była zaskoczeniem, faktem bolesnym i trudnym do przyjęcia. Pozostanie po Nim pustka, ale i żal, i serdeczna pamięć o Poecie, Człowieku i — chyba mogę tak powiedzieć — Przyjacielu.

Tadeusz Kłak

Z tradycyjnej poezji ludów czarnej Afryki

Szanowny Panie Redaktorze, zapewne nawet najskromniejszemu zestawowi wierszy zgrupowanych pod wspólnym tytułem „Z tradycyjnej poezji ludów czarnej Afryki" dobrze by zrobił krótki wstęp. Aby oczywiście wyjaśnić, o jaką tu poezję właściwie chodzi. I czy przypadkiem nie ma nieporozumienia w kojarzeniu afrykańskich tradycji ze sztuką poetycką. Kłopot tu w tym jedynie, że krótki wstęp niedaleko prowadzi: jeżeli wyjaśnia, to sprawy na ogół jasne nie od wczoraj. Dziś mało komu wydaje się niezrozumiałe bądź zaskakujące, że ludy, które nie znały pisma (m. in. dlatego też zwane prymitywnymi) mogły stworzyć literaturę, która dzięki swoim wartościom ani myśli ustępować literaturze ludów nieporównanie wyżej stojących pod względem rozwoju technicznego. To generalne stwierdzenie przystaje jak najbardziej do tradycyjnej, przekazywanej ustnie literatury Czarnego Lądu, gdzie niegdyś (i niejednokrotnie po dzień dzisiejszy) rolę książki i bibliotek z powodzeniem spełniała pamięć griotów, tych afrykańskich aojdów. Tamtejsza literatura tradycyjna jest pełna i w tym sensie, że zawiera cały wachlarz gatunków — od mitów kosmogonicznych do przysłów, od zgadywanek do opowieści i legend — poezję epicką, liryczną, sui generis rycerską, dworską, epitafialną etc. Zarazem jest jednak literaturą stosunkowo mało znaną. Gorzej nawet: zapoznaną. Nie skończył się bowiem jeszcze żmudny proces jej utrwalania pismem, a nie tylko z tego oczywistego powodu, że wciąż wchodzą w grę nowe znaleziska, które wzbogacają jej skarbnicę.

Jeżeli pismo stanowi dla utworów literackich cement utrwalający ich kształt ostatecznie, to literatura, której cechą jest ustny przekaz, lubi wymykać się z takiego imadła, które raz na zawsze chce utrzymać kształt utworu: woli ona być żywa tak, aby ten sam utwór mógł być tworzony niemalże od nowa, jakby pomnażany przez osobowość griotów, dla których narzędziem „publikacji" nie musi być wyłącznie pamięć, ale bywa nim także własna, współdziałająca inspiracja — dostrojona do okoliczności i odbiorców. Można by tu mówić o procesie podobnym choćby tylko w pewnej mierze do tego, który towarzyszy u nas transponowaniu utworów literackich na ekran, z tą jednak zasadniczą różnicą, że inwencja griotów nie zakłamuje oryginału i przywraca mu, w odmiennych sytuacjach, pełny jego oddech.

Zamieszczona poniżej garść przekładów z tradycyjnej poezji czarnej Afryki nie pretenduje do tego, aby stanowić jej „pars pro toto". Chodzi po prostu o zaprezentowanie kilku, w miarę różnorodnych utworów z jej rozległego obszaru.

Zbigniew Stolarek

Pragnienie

Nie ma igły bez czubka, który nie przekłuwa.
Nie ma brzytwy bez ostrza, które nie przecina.
W rozmaitych kształtach śmierć do nas przychodzi.

Stopami chodzimy po tej koźlej ziemi,
Rękami dotykamy do bożego nieba.
Przyjdzie taki dzień, że w skwarze południa
Na ramiona mnie wezmą, nad sobą poniosą
Przez wieś, umarłego.
Kiedy już umrę, to mnie nie chowajcie w lesie pod drzewami,
Boję się ich kolców.
Kiedy już umrę, to mnie nie chowajcie w lesie pod drzewami,
Boję się wody, która po nich ścieka.
Pod tymi pochowajcie wielkimi drzewami,
Które cień dają na targowym placu;
Chcę słuchać, jak bębny bębnią,
Chcę czuć stopy tych wszystkich co na placu tańczą.

W drodze

Szliśmy razem, trzy kobiety, trzech mężczyzn,
Szliśmy razem, szedłem ja, Kodio Ango.
Szliśmy do miasta, żeby tam pracować,
A po drodze utraciłem żonę,
Swoją żonę, swoją Nanamę.
Tylko ja jeden utraciłem żonę,
Tylko ja jeden miałem to nieszczęście,
Tylko ja, Kodio Ango,
Z nas trzech najbardziej udany,
Tylko ja jeden.
Już wołam za żoną na próżno.
Padła na drodze jak w biegu kurczątko.
Jak o tym powiem jej matce?
Jak ja jej powiem, ja, Kodio,
Kiedy mi tak ciężko
Swój własny ból teraz nieść z powrotem?

Próżniaczy żywot

Kiedy kogut zapieje,
próżniak głową pokręci i powie:
O, znowu chyba jest dzionek?
I zanim zdoła się zebrać,
zanim się jeszcze przeciągnie,
zanim ziewnie chociażby raz jeden:
rolnik jest już na polu,
nosiwoda zaszedł nad rzekę,
prządek przędzie bawełnę,
tkacz już tka swoje płótno
i ogień buzuje w chacie u kowala.

Próżniak wie dobrze, gdzie zupa jest słodka:
od jednego domu idzie do drugiego.
Gdy gdzieś akurat nie składają ofiar,
za brzuch się łapie, jakby mu chciał uciec.
Ale gdy dojrzy świeże bulwy yamu,
czym prędzej rozpina koszulę;
już od ofiarnika na krok nie odstąpi.

Próżniak ma jednak niemałe kłopoty.
Kiedy zaczną dojrzewać jego młode żony,
bogacz mu pomoże, żeby miały męża.

Niekonsekwencja

Biali to są małe dzieci.
Na rzecznej łasze zastrzelili słonia.
Jego krew po rzece płynęła jak łódź.
Słoń utonął. Utonął ze wszystkim.
Dla Miss Mary szedłem zbierać dzikie proso.

Śpiew miłosny

Marnieje ciało, serce pozostaje młode.
Zużywa się półmisek podawaniem jadła.
Swojej starej kory nie zatrzyma kłoda.
Kiedy rywal płacze, kochanek nie zazna spokoju.

Kamena str. 4

Prasa lubelska w 1944 r.

Dokończenie ze str. 1

Wyzwalane tereny nasycano ulotkami, zrzucanymi z samolotów. Żołnierze polscy i radzieccy mieli specjalne instrukcje, zobowiązujące ich do kolportowania prasy polskiej. Było to dzieło Związku Patriotów Polskich. Ukazywały się „Nowe Widnokręgi" i „Wolna Polska", a później liczne tytuły prasy wojskowej. Pisma te docierały przez front na ziemie polskie.

Prasa wojskowa była poprzedniczką licznych gazet i pism, ukazujących się w okresie Polski Lubelskiej, ona stworzyła początki powojennego dziennikarstwa. Pism wojskowych wydawano sporo, począwszy od skromnego i jeszcze powielanego „Biuletynu Informacyjnego", trafiającego do każdego pododdziału 1 DP, poprzez „Żołnierza Wolności", „Zwyciężymy", którego redaktorem naczelnym był Paweł Hofman, poprzez „Na Zachód", „W Marszu na Zachód", „Głos Żołnierza", „Do Boju", „Do Broni", „Gazetę Oficerską", aż do gazet Ludowego Wojska Polskiego. Początek tym ostatnim dał numer „Zwyciężymy", który ukazał się 23 lipca 1944 r. z nowym podtytułem „Gazeta Armii Polskiej". Po dwu tygodniach zmieniono go na „Gazetę 1 Armii Wojska Polskiego", a od października 1944 r. określono pismo po prostu „Gazeta Żołnierska". Zresztą ten ostatni podtytuł ustalono widocznie dla wszystkich wojskowych pism, gdyż używały go również: gazeta II Armii WP „Orzeł Biały", która zaczęła wychodzić 17 listopada 1944 r. i gazeta 1 KPanc. „Pancerni", ukazująca się od 28 września 1944 r.

23 lipca 1944 r. w Chełmie ukazał się pierwszy numer „Rzeczypospolitej". Decyzję o wydawaniu tej gazety podjęto na zebraniu członków KRN i działaczy ZPP 20 lipca w Moskwie. Ustalono wtedy — podaje Krystyna Kersten w publikacji pt. „Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego" — wydanie Manifestu w pierwszym wyzwolonym mieście. Dyskutując sprawę organu prasowego, wybrano spośród kilku proponowanych tytułów („Nowa Polska", „Naród i Wojsko") nazwę „Rzeczpospolita". Jej redaktorem naczelnym został Jerzy Borejsza. Dwustronicowa gazeta, tłoczona w drukarni polowej, przynosiła dekret o powołaniu PKWN, jego Manifest do narodu polskiego, zaczynający się znamiennymi słowami: „Polacy w kraju i na emigracji! Polacy w niewoli niemieckiej!", krótkie dane biograficzne o członkach PKWN, postanowienia KRN o przejęciu zwierzchnictwa nad armią polską w ZSRR i o scaleniu AL i AP w jednolite Wojsko Polskie, a także o przejęciu zwierzchnictwa nad Związkiem Patriotów Polskich w ZSRR. W tym pierwszym numerze ogłoszono także decyzję o powołaniu naczelnego dowództwa WP z gen. broni Michałem Rolą-Żymierskim i jego zastępcami: gen. bryg. Aleksandrem Zawadzkim i gen. dyw. Zygmuntem Berlingiem na czele.

Czołówka „Rzeczypospolitej" obwieszczała:

Tu, gdzie w ciągu prawie pięciu lat panoszył się krwawy terror hitlerowski, a wolne słowo polskie zepchnięte było w podziemia, zakładamy placówkę prasową, z której odtąd swobodnie rozlegać się będzie głos, dający wyraz myślom i dążeniom demokracji polskiej. Wszyscy, którym droga jest wolna i niepodległa Polska, którym droga jest demokracja, którzy gotowi są walczyć o nie i bronić ich, znajdą w placówce naszej otwartą dla siebie trybunę.

Wśród tych, którzy przygotowywali ten pierwszy numer „Rzeczypospolitej", byli oprócz redaktora naczelnego Jerzego Borejszy — Jan Huszcza i Anatol Mikuła. Kadrę dziennikarską czerpano głównie z szeregów żołnierskich. W pierwszych dniach wyzwolenia Edwardowi Ochabowi, jako pełnomocnikowi Rady Wojennej Armii Polskiej, podlegała 33-osobowa grupa oficerów, przeznaczonych m. in. do organizowania prasy i propagandy. W redakcji „Rzeczypospolitej" pracowało w okresie późniejszym 10 oficerów, m. in. kpt. Jerzy Putrament, por. Adam Ważyk, por. Zofia Bystrzycka, ppor. Ignacy Witz.

Pod koniec lipca zespół redakcyjny „Rzeczypospolitej", wyposażony w 50 tys. zł, udał się tuż za przedstawicielami PKWN do Lublina. Przystąpiono do organizowania redakcji, a właściwie drukarni, papieru, drukarzy. Nie była to sprawa łatwa. O pomoc trzeba było się zwracać do Związku Radzieckiego.

Władysław Kuszyk, redaktor tygodnika konspiracyjnej WRN w Lublinie „Głosu Ludu", wspomina:

Niemało zamieszania wprowadził do umysłów fakt, że 25 lipca przedstawiciel Delegatury Rządu Londyńskiego Cholewa w rozprowadzonej wśród mieszkańców i rozplakatowanej na murach ulotce ogłosił „legalną" władzę w Lublinie. Ludzie ci mieli dość szerokie powiązania z byłą sanacyjną administracją i z aparatem urzędniczym administracji cywilnej w okresie okupacji. Ujawnienie się „władzy" londyńskiej szeroko propagowały po całym mieście oddziały akowskie. Kiedy dostałem jedną z takich ulotek do ręki zrozumiałem, że działacze tzw. „rządu londyńskiego" będą czynić wszystko, aby izolować nas od mieszkańców miasta.

2 sierpnia ukazał się w Lublinie pierwszy numer „Wiadomości Lubelskich", demonstracyjnie afiszujący się podtytułem „niezależnego dziennika demokratycznego", który zapowiadał, że *po pierwszym etapie walki z okupantem, po przewaleniu się przez nasze tereny pożogi wojennej, wchodzimy w etap drugi, na którego progu lud polski jako jedyny gospodarz tej ziemi mocno uchwyci w swe dłonie los swojej lepszej i jasnej przyszłości.* Lud rzeczywiście przejął władzę, ale nie w oparciu o propozycje „Wiadomości Lubelskich", które po kilku dniach przestały się ukazywać.

Drugi numer „Rzeczypospolitej", już lubelskiej, wyprzedziła „Gazeta Lubelska" Jana Dąbrowskiego. W tych samych zakładach składano organ PKWN. Wśród wielu wiadomości z frontu gazeta informowała w 2 numerze o sforsowaniu Wisły pod Sandomierzem, o ucieczce gubernatorów warszawskiego i krakowskiego Fischera i Franka, o zajęciu Bretanii przez wojska amerykańskie. Seweryn Sosnowski w artykule pt. „Bitwa o Polskę" apelował:

Bitwa o Polskę trwa. Prosty i jasny obowiązek nakłada ona na Polaka. Armia sowiecka bije Niemca, niszczy niemiecką machinę wojenną. Honor nam nakazuje, aby dziś większy niż kiedykolwiek był wysiłek zbrojny Polaka w wyzwoleniu Polski. Dwie są formy tego wysiłku. Pod okupacją niemiecką — czynna walka partyzancka. Na terenach wyzwolonych — zjednoczone regularne Wojsko Polskie. Z apelem tym kontaktowały strofy wiersza Jana Huszczy, zamieszczone na 3 stronie „Rzeczypospolitej" z 4 lipca:

Ziemio nasza, ziemio dla
wszystkich!
Co ciebie kochają i w ciebie
wierzą!
Z chmur jasny orzeł błyska,
Biało-czerwone sztandary świecą
domom i wieżom.
Z dniem każdym zwiększa się
obszar wolności...
Zorze witając ranne, zorze witając
krwawe,
Twoje szepczemy imię, Warszawo.
Szepcząc, wiemy:
Przez walkę i ogień do szczęścia
najprościej.
Przez walkę i ogień wolnej
Ojczyzny świta poemat!

Na murach miasta pojawiły się również liczne hasła, wezwania, plakaty, obwieszczenia, dekrety, afisze propagandowe. Atmosfera podniecenia, ogólnej radości, niecierpliwości. Jedne głosiły: *Niech żyje PKWN*, inne wzywały: *Oswobódźmy z niewoli naszych braci i siostry, wywiezionych do Niemiec na ciężkie roboty przymusowe*, jeszcze inne zapewniały: *Warszawo! Zbratani synowie twoi pomszczą twe ofiary i zgliszcza!* Uzupełniały one ten typ informacji propagandowej gazet.

W Lublinie aresztowano już część załogi niemieckiej b. obozu koncentracyjnego na Majdanku. Jerzy Putrament rozpoczął w „Rzeczypospolitej" druk swoich słynnych reportaży, zatytułowanych „Fabryka śmierci". Jeńców umieszczono w jednym z baraków majdankowskich. Władze zdecydowały, żeby Niemcom pokazać obóz koncentracyjny. W związku z tym Putrament napisał: *Patrzę na nich i rozumiem jedno: my będziemy przeklinać Hitlera dziesiątki lat. Oni, Niemcy, chyba przez wieki. Hitler zmusił ich do wyrzeczenia się ludzkości. Teraz ludzkość ich się wyrzeka.* Przez długie tygodnie prasa lubelska relacjonowała postępowanie polskich władz sprawiedliwości wobec hitlerowskich zbrodniarzy. Etapem końcowym była rozprawa i wyrok śmierci, wydany na katów majdankowskich.

Redakcje miały niemałe kłopoty z wiadomościami zagranicznymi. Nie było wówczas biuletynów agencyjnych, a Polpress — Polska Agencja Prasowa, powołana do życia przez Związek Patriotów Polskich na wiosnę 1944 r., była jeszcze w powijakach. Organizatorem agencji był Zygmunt Modzelewski. Przeniesiona co prawda już 2 sierpnia 1944 do Lublina przez Zofię Marchlewską, znajdowała się właściwie w stadium organizacyjnym. W październiku powstała Agencja Polityczno-Informacyjna. Na razie jednak gazety musiały sobie same radzić. W „Rzeczypospolitej" urządzono radiowy nasłuch, w czym niezastąpiony okazał się Adam Panasewicz.

Nieprzypadkowo tylekroć powołujemy się na „Rzeczpospolitą". Gazeta była przecież pismem wiodącym, a jej redaktor naczelny cieszył się nie tylko olbrzymim autorytetem wśród swoich współpracowników, ale również uznaniem władz. Praktycznie Jerzy Borejsza podporządkował sobie wszystkie drukarnie, a w Resorcie Kultury i Sztuki przejął funkcję dyspozytora papieru. Mimo ograniczonych możliwości papierowych prawie co tydzień powstawały nowe gazety i wydawnictwa periodyczne. Dom Lubelskiej Prasy — jak nazywano budynek przy Krakowskim Przedmieściu 62 — mieścił większość redakcji. Gościnę znalazła tu „Trybuna Wolności", powstała we wrześniu, świadomie nawiązując w tytule do konspiracyjnego pisma z 1942 r., dziennik Polskiej Partii Robotniczej „Głos Ludu" (14 XI 44), pismo PPS „Robotnik" (11 XI 44), organ Stronnictwa Ludowego „Zielony Sztandar". Trudno dziś, po latach, ustalić wysokość nakładów. W każdym razie „Rzeczpospolita" stosunkowo szybko osiągnęła fantastyczny na owe czasy nakład 100 tys. egzemplarzy.

W gmachu KRN przy ul. Spokojnej (dziś — 22 Lipca) zaczęły powstawać resortowe dzienniki niektórych wydziałów. PKWN swoje dekrety ogłaszał w „Dzienniku Ustaw Rzeczypospolitej Polskiej", którego pierwszy numer ukazał się 15 sierpnia. Jego redaktorem był prawnik Henryk Zakościelny. „Dziennik" miał nakład 15 tys. egzemplarzy. W późniejszym okresie był uzupełniany w Krakowie. Wydział Oświaty wydawał swój „Dziennik Urzędowy Resortu Oświaty", Departament Pracy, Opieki Społecznej i Zdrowia — „Biuletyn Informacyjny", drukowano poza tym „Dziennik Wojewódzki Lubelski" i „Dziennik Świadczeń Rzeczowych". Organem Krajowej Rady Narodowej była „Rada Narodowa".

Pojawia się też coraz więcej pism organizacji społecznych i młodzieżowych. 10 września ukazuje się pierwszy numer „Barykady Wolności" — tygodnika politycznego PPS. Problematyką wsi interesują się takie pisma jak: „Chłopi", „Wieś", „Wici", „Młodzi Idą", „Zagon Ojczysty". Ten ostatni, wydawany przez lubelską Izbę Rolniczą, wiele miejsca poświęcał porządom praktycznym i organizacji produkcji rolnej. „Wici" były organem Związku Młodzieży Wiejskiej, a w komitecie redakcyjnym prym wiódł Józef Ozga-Michalski. Bezpośrednio po pierwszym zjeździe młodzieży TUR ukazał się w Lublinie dwutygodnik Tymczasowego Komitetu Centralnego Organizacji Młodzieży TUR — „Młodzi Idą".

W początku września czytelnik lubelski otrzymał pierwszy numer tygodnika literackiego. Redaktorem „Odrodzenia" był Karol Kuryluk. Zróżnicowane tematycznie artykuły i bogaty serwis wiadomości z różnych stron kraju sprawiały, że nakład wynosił 15 tysięcy. W końcu września Leona Pasternak wydaje pierwszy numer pisma satyrycznego „Stańczyk". Skupiało ono wielu wybitnych satyryków, rysowników, ludzi hołdujących zasadzie: dobry żart tynfa wart, która to zasada widniała zresztą w podtytule pisma. Ale jego żywot był krótki, podobnie jak pisma „Chochoł". Nie wytrzymał próby konfrontacji z czytelnikiem, domagającym się jasno precyzowanych poglądów, tygodnik kulturalno-literacki „Gontyna".

Od 15 października zaczął wychodzić dwutygodnik spółdzielczości „Społem", redagowany przez Edmunda Zalewskiego. „Promyk" i „Gazeta Szkolna" były przeznaczone dla młodzieży szkolnej.

Głód wiadomości z jednej strony, a trudności kolportowania z drugiej spowodowały, że w pierwszych miesiącach powojennych wiele terenowych organizacji partyjnych i władz administracyjnych przystąpiło do wydawania własnych, lokalnych gazet.

Już 17 sierpnia 1944 r. Powiatowa Rada Narodowa w Tomaszowie zaczęła wydawać „Ziemię Tomaszowską". W Chełmie ukazał się tygodnik regionalny „Ziemia Chełmska", z którym wiodła polemikę na temat reformy rolnej „Rzeczpospolita". Pierwszy numer „Tygodnika Zamojskiego", organu Powiatowej Rady Narodowej, pojawił się 4 listopada 1944 r. W Radzyniu przystąpiono 15 października do wydawania tygodnika „Głos Wolności". Biała Podlaska miała swoją mutację „Życia Warszawy", noszącą tytuł „Życie Podlasia".

Dodajmy jeszcze, że już od 11 sierpnia działała rozgłośnia Polskiego Radia. Początkowo studio znajdowało się w wagonie na dworcu kolejowym, w dwa tygodnie później przeniesiono je do lokalu przy ul. Chopina. 22 września 1944 r. ukazał się dekret PKWN o utworzeniu przedsiębiorstwa państwowego „Polskie Radio". Przy pomocy Resortu Informacji i Propagandy przystąpiono do radiofonizowania miast, osad i wsi. W końcu 1944 r. były czynne cztery nadajniki (w Lublinie, Białymstoku, Siedlcach i Rzeszowie) oraz 23 punkty przekaźnikowe.

Redakcje olbrzymiej większości pism prawidłowo informowały społeczeństwo, jasno naświetlały ówczesną sytuację polityczną i wojskową, ukazywały perspektywy rozwoju młodego państwa, borykającego się przecież z wieloma trudnościami i przeciwnościami. Był to okres, który można nazwać szkołą politycznego myślenia. Dziennikarze lubelscy zdali wtedy egzamin.

Al. Leszek Gzella

„Opole 70"

Romuald Wiśniewski

Gdzie jesteś piosenko?

PRZYJECHAŁEM do Opola z grypą, w dodatku niedospany, gdyż dyrektor lubelskiej „Estrady", łaził do godziny 2 w nocy po korytarzu wagonu i wyciągał ludzi, nawet już z łóżek, na piwo. A na miejscu od razu niepewność, gdzie będę spał? Nie dość festiwalu, są jeszcze żeglarskie mistrzostwa Polski południowej, zjazd inwalidów, wielka wystawa „Opole-25" i szereg innych imprez. Jak na to nie największe przecież miasto wojewódzkie dostatecznie dużo, a może nawet za dużo. Naturalnie, nie obawiam się, iż w ogóle nie będę miał gdzie spać. Redakcja wysłała wcześniej moją akredytację, przy czym akredytacja prasowa w bieżącym roku była płatna — 850 od osoby. Akredytowano ponad 200 dziennikarzy.

Panie z recepcji szukają długo mego nazwiska (lista nie jest alfabetyczna). Spostrzegam, iż przy nazwiskach niektórych dziennikarzy (w rubryce „Uwagi") znajdują się dopiski: „kwatera dobra", „kwatera bardzo dobra", lub „kwatera dobra — z telefonem". Wreszcie jest i moje nazwisko. W uwagach duża czarna kropka. Co to może oznaczać? Dostaję pokój na kwaterze prywatnej.

Nie lubię kwater prywatnych, krępuje mnie, gdy widzę nieraz, że ja mieszkam w największym pokoju, a kilkuosobowa rodzina gospodarzy w mniejszym. Opole jest wyjątkiem. Właściciele kwater prywatnych odnoszą się do gości na ogół z wylewną serdecznością. Większość stałych bywalców zwraca się do organizatorów z życzeniem otrzymania tej samej kwatery, co w roku ubiegłym. W 1969 r. mieszkałem u państwa Dygdatowiczów, przy ul. Kośmego 42. Zapraszali mnie na śniadania, pytali, czy nie potrzebna mi jakaś pomoc, a gdy wracałem któregoś dnia później, nazajutrz zastawałem na stoliku przy łóżku szklankę kefiru, jakby w przewidywaniu, że zabalowałem i mam kaca. „Bo my traktujemy pana jako uczestnika festiwalu, a nie podróżnego przysłanego na nocleg" — mówił mi pan domu. Łamałem głowę, jak tu się zrewanżować, potem dowiedziałem się, że inni uczestnicy festiwalu podejmowani byli podobnie gościnnie. Więc w Opolu nie obawiam się kwater prywatnych. Zresztą wszyscy w hotelach się nie pomieszczą. Niemniej nie rozumiem, dlaczego przy jednakowej opłacie niektórzy dziennikarze dostają pokój hotelowy za 120 zł czy 80 zł (doba), a większość pokój na kwaterze za 40 zł. Moja miała cenę 55 zł za dobę. I odbywa się to nie na zasadzie: kto przyjedzie pierwszy, ten dostanie lepszy pokój, lecz według z góry ustalonego podziału.

Na konferencji prasowej dziennikarze usiłowali dociec, jakie są kryteria tego podziału i kto je ustala, lecz odpowiedzi były unikowe i nic nie wyjaśniły.

„Trubadurzy" wzbogacili się o kobietę

Fot. J. Grzegorzewicz

* * *

Zaraz po przyjeździe, o godz. 11 konferencja prasowa. Trzema autokarami wiozą nas nad Zalew Turawski, sztuczny zbiornik wodny usytuowany w lasach około 20 kilometrów pod miastem. Dziennikarzy wita Karol Musioł, człowiek obrosły już legendą, były przewodniczący Prez. MRN, a od czasu przejścia na emeryturę — prezes Towarzystwa Przyjaciół Opola, jedna z głównych postaci organizujących festiwal. Przemawia językiem obrazowym, zwrotami pięknej gwary śląskiej i z wyraźnym śląskim akcentem. Opowiada o tradycjach muzycznych tego regionu, w którym muzyka i piosenka pomagały w zachowaniu polskości i przetrwaniu lat niewoli. Potem występuje ludowy zespół pieśni i tańca z „Zawadzkiego". Autentyczni chłopo-robotnicy. Mówią nam, że to samo śpiewają na weselach i zabawach w swojej wsi. Dziennikarze zagraniczni — a jest ich ponad 30 — fotografują i filmują zawzięcie. Wśród fotoreporterów — jeden w czarnym tużurku i meloniku, posługuje się staroświeckim aparatem na klisze, w drewnianej skrzynce, z czarną kapą, którą przykrywa głowę, gdy robi zdjęcie. To Andrzej Babiński, przedstawiciel „Gazety Festiwalowej". Pismo wydaje Towarzystwo Przyjaciół Opola, drukują Opolskie Zakłady Graficzne (na papierze do pakowania, trochę na zielonym, trochę na żółtym, trochę na szarym — bo skąd wziąć inny?) nakład 2 000 egzemplarzy, format nieco mniejszy od „Kameny", stron 4, cena egzemplarza 3 zł, treść: trochę oficjałek i informacji bieżącej o festiwalu, reszta to plotki i anegdoty o uczestnikach. Idzie jak woda. Redaktor Babiński ma wspaniałą brodę i wąsy, ale to tu normalne, każdy jest jakoś kudłaty, sam mam za długą grzywę i bokobrody, nie zdążyłem się przed wyjazdem ostrzyc — i dobrze, bo wyglądałbym zgoła podejrzanie.

Zespół z „Zawadzkiego" skończył swe popisy i teraz mamy pokaz mody w wykonaniu firm „Dana", „Cora" i „Polboy" (Boże, co za nazwy, toż już prawie Playboy!).

Gospodarze częstują nas żurem, krupniokiem, słynnym śląskim przysmakiem (zawsze myślałem, że to rodzaj wódki na miodzie, a tymczasem to coś zbliżonego do naszej kaszanki) i piwem. Skwar okropny, prawie 30 stopni w cieniu, zalew nas nęci kąpielą, publiczność wypoczywająca nad nim porzuciła jednak plażę i przygląda się pokazowi. „Pewnie pójdzie teraz w Polskę fama o tym, jak nam tu zrobiono za społeczne pieniądze bankiet z pieczonymi bażantami i francuskim koniakiem" — mówi Zbigniew Zapert z „Ekspressu Wieczornego". (Nie, dotychczas nie słyszałem — może teraz, gdy napisze, pójdzie ta fama?) Ja bym jednak zjadł jeszcze kawałek krupnioku, głodny jestem, niestety, kelnerzy niedomyślni, noszą repetę do środkowego stołu, przy którym różne znakomitości, jak Roman Waschko (aktualnie bez koszuli), człowiek, który doskonale wie, co się zmienia na listach przebojów pism i rozgłośni anglosaskich — i gorliwie to relacjonuje na łamach „Sztandaru Młodych", dostarczając w ten sposób młodemu pokoleniu niezbędnej dlań pożywki duchowej.

Konferencja kończy się o godz. 15, było przyjemnie, lecz o piosence dotychczas nie mówiliśmy nic. Nie piosenka była tematem pierwszego koncertu wieczornego, lecz występy zespołu pieśni i tańca ludowego. Dopiero o godz. 22, na wyspie Bolko, porośniętej starym parkiem, odbyła się impreza pt. „Zielona fala", zapowiadana jako festyn muzyczny. W rzeczywistości był to koncert nocny (do godz. 4 rano), bo tłok nie pozwalał tańczyć. Występowały zespoły „No To Co", „Niebiesko-Czarni", „Roma", orkiestra uliczna z Chmielnej, Maryla Rodowicz i inni. Takie późne koncerty w warunkach, kiedy nie można siąść, kiedy trudno się dostać do bufetu, nie przynoszą w pełni zamierzonego efektu.

* * *

Dla sprawozdawców prasowych festiwal jest imprezą dość męczącą. O godz. 17 jedna z imprez towarzyszących, o godz. 20.30 koncert wieczorny, o 24. — koncert nocny (do ok. 2.30—3), nazajutrz o 11 rano konferencja prasowa. A do tego jeszcze wywiady i rozmowy z umówionymi ludźmi w innych godzinach, wpadnięcie na próbę (próby codziennie od godz. 10), nadanie wiadomości przez korespondentów prasy codziennej. Kto więc lubi trochę zabalować przy kieliszku, a tacy, owszem, zdarzają się, prawie nie ma czasu na spanie. To samo jest z organizatorami oraz z występującymi na festiwalu. Już na drugi dzień pewna część ma zaczerwienione, wpadnięte oczy. W restauracji „Pod Pająkiem", zarezerwowanej dla posiadaczy kart uczestnictwa w festiwalu, rano największy popyt mają kefir i kawa.

Piątek, 27 czerwca, konferencja prasowa. Redaktor Andrzej Stankiewicz z prezydium konferencji wprowadza nas do dyskusji informacją o stanie polskiego piosenkarstwa. A więc stan ten jest zły. Za granicą nasza piosenka na ogół nie liczy się wysoko. Kilka osób od dłuższego czasu występuje za granicą. Są to między innymi Krystyna Konarska, Irena Jarocka, Helena Majdaniec i Wasyl Michaj (Burano). Ale tylko ten ostatni odnosi liczące się sukcesy. Bogusław Wyrobek, gwiazda nr 1 polskiej muzyki rozrywkowej z roku

„Partita" śpiewa

Fot. J. Grzegorzewicz

1959, po wyjeździe do Szwecji przez kilka lat grał w restauracjach, a obecnie — w drugorzędnym zespole. Nie ma tam możności pracy nad sobą, toteż gdyby powrócił do kraju znajdzie się w gorszej sytuacji niż przed wyjazdem, bo konkurenci rośli i rozwijali się. Bywa, że do Skandynawii wyjeżdżają nasi muzycy, lecz zostają tam kleczmerami (grajkami knajpianymi), nisko ocenianymi i opłacanymi. Ten odpływ zahamował się w roku 1965 i później, powstało bowiem kilka zespołów, jak „Blackout", „Polanie", „Czerwono-Czarni" i „Skaldowie". W ich skład wchodzili na ogół amatorzy; profesjonaliści, muzykolodzy i kompozytorzy w większości nie chcieli z nimi współpracować, czego zresztą dziś żałują. Amatorzy szybko stali się zawodowcami, lecz nie mają czasu na dokształcanie się. „Skaldowie" nie podobali się w USA. Nie zrobiono im ani jednego koncertu poza środowiskiem polonijnym, a i to nie było zachwycone. Dobrze byłoby, aby koledzy redaktorzy wypowiedzieli się co do poziomu, co robić, aby podniósł się poziom polskiej piosenki, abyśmy nie widzieli na estradzie i w telewizji słabych wykonawców i słabych utworów.

Ktoś z sali mówi, że nic prostszego: niech estrada i telewizja nie angażują tandety. Ktoś z sali pyta, dlaczego w tym roku nie będzie maratonu kabaretowego oraz dlaczego nie przyjechało tylu znanych piosenkarzy?

Odpowiada przewodniczący komisji artystycznej, red. Edward Fiszer. Nie jest tak łatwo ściągnąć i skupić czołowych w jednej imprezie. Ewa Demarczyk dawno już wyraziła zgodę na przyjazd do Opola, a potem odmówiła. Niemen chciał przyjechać, lecz w ostatniej chwili zaproszono go na występy do Włoch. Festiwal korzystać będzie tylko z aparatury głośnikowej Niemena kupionej przez niego za granicą. Łazuka jakoś nie mógł zdecydować się. Młynarski nie zgłosił żadnej swojej piosenki, a chyba nie wyobrażamy sobie, żeby śpiewał cudze. A w ogóle festiwal jest na tym etapie, że czas przestać rozbudowywać go wszerz, a zacząć walczyć o poziom. Maratonu kabaretowego nie będzie, gdyż telewizja wrocławska odmówiła dostarczenia wozu transmisyjnego, a to z powodu kosztów. A w ogóle koszty imprezy są coraz większe, stąd konieczność oszczędności.

Red. Krystian Brodacki z „Argumentów" prosi o uargumentowanie wzrostu kosztów. Kierownik biura artystycznego, red. Andrzej Jaroszewski, wyjaśnia szczegóły. Telewizja dała na imprezę 1 400 tys. zł, z czego 800 tys. zł na hononaria dla wykonawców, diety, koszty przejazdów itd. Najtańszy był koncert inauguracyjny, bo diety i koszty przejazdów zespołów ludowych pokryła CRZZ. Koncert „Przeboje sezonu" kosztuje 90 tys. zł, „Premiery Opola 70" — 70 tys. zł i „Stefan Rachoń zaprasza" — 40 tys. zł. Ten ostatni taki tani, gdyż występują sami soliści. Honorarium za występ solisty wynosi 1000 zł, za zespół — około 5—6 tys. W tym roku w Opolu jest 16 zespołów beatowych — rekord jak nigdy, niestety to kosztuje. Więc choć bilety wstępu na imprezy są nieco droższe niż w roku ubiegłym — w jeszcze mniejszym stopniu pokryją one koszty. Maraton kabaretowy miał kosztować 180 tys. zł (hononaria) i to też było jednym z powodów, że zeń zrezygnowano.

Ktoś z sali mówi, że oprócz wpływów za bilety wstępu jest jeszcze zysk społeczny w postaci zapełnienia wolnego czasu tylu ludziom, przybliżenia im Opola itd.

Redaktorka z sali pyta, w jaki sposób angażuje się piosenkarzy do udziału w festiwalu? Red. Jaroszewski: Niektórym my proponujemy, niektórzy na nasze ogłoszenia zgłaszają się sami, tą ostatnią drogą dochodzą głównie do festiwalu debiutanci, oczywiście po przedostaniu się przez komisje weryfikujące. „Silna Grupa" zaproszona została do występu w „Maratonie", a kiedy ten odwołano, zaproponowała, że przyjedzie na swój koszt i bez hononarium, byle dano jej 15 minut w jakimkolwiek programie.

Wstaje kolejny pan z prezydium, red. Zdzisław Jaeschke (nareszcie ktoś z Opola — impreza jest bowiem zmajoryzowana przez zawodowych działaczy z Warszawy) i informuje, iż Towarzystwo Przyjaciół Opola dokłada do festiwalu (głównie scenografia i deficytowe imprezy towarzyszące) około 1 200—1 400 tys. zł. Koszt akredytacji dziennikarzy został podwyższony, gdyż przyjeżdżało ich coraz więcej, z niektórych redakcji po kilku, a rezultaty ich pisania nie były proporcjonalne. Trzeba to ograniczyć.

W tym momencie zrobiło się mi głupio w imieniu mego Redaktora Naczelnego, że ktoś inny chce za niego decydować o celowości mego przyjazdu do Opola, lecz rozważania przerwał mi red. Zbigniew Adriański z „Nowej Wsi" pytaniem do prezydium: Czy musimy schlebiać kudłaczom? Ja wprawdzie, na znak solidarności z nimi zapuściłem sobie brodę, ale nie widzę powodów, dla których mamy zapraszać na festiwal tyle zespołów beatowych. Czy nie należy lansować też piosenki wielkiej, literackiej, artystycznej? Pierwsze festiwale były urocze, literackie, bezpretensjonalne.

Red. Fiszer: Atmosfery pierwszych festiwali, które kosztowały przy tym grosze, nie osiągniemy. Opole się sprofesjonalizowało, robi karierę Sopotu. Do Opola przyjeżdżają teraz masowo zagraniczni dziennikarze i biznesmeni muzyki lekkiej. Inna sprawa, że nie oferujemy im wszystkiego, na co nas stać. Przeboje są nędzne. Kto ustala, że to są przeboje? Plebiscyt redaktorów? Dla mnie wyrocznią byłby plebiscyt publiczności, czyli to co śpiewa ulica.

Red. Bogdan Lembrych przedstawiciel „Kuriera Lubelskiego": Dlaczego festiwal sopocki jest dochodowy, a opolski, krajowy, deficytowy?

Red. Jaroszewski: Sopocki też ma deficyt, tylko znacznie mniejszy. W Sopocie jest bowiem dużo mniej imprez i tylko 30—40 wykonawców zagranicznych, ale na ogół mało znanych, niedrogich. A u nas 300—400 wykonawców. I bilety w Opolu znacznie tańsze.

Głos z sali: Ja protestuję przeciwko ograniczaniu liczby dziennikarzy. Dla czytelników może być co innego ważne niż dla organizatorów, natomiast jeśli chodzi o decyzję niedopuszczenia piosenki Jacka Lecha „Mężczyźni nigdy nie płaczą", to zgadzam się z red. Fiszerem. Takie piosenki, gdyby było trzeba, zwalczałbym przy pomocy karabinu maszynowego.

Głos z sali: Taki pan mądry? A wie pan, ile pieniędzy straci na tym autor piosenki?

Mamy więc popołudnie drugiego dnia festiwalu, na ulicach — Boże, co za wspaniały nastrój, ale piosenek nowych nie słyszałem, natomiast słyszę ciągle o pieniądzach, więc i piszę o nich. Na razie.

Henryk Słysz

* * *

czekaliśmy jesieni

bez głogów nadeszła
środkiem lata

ocembrowana
nabrzmiałymi lipami
pasiekami

zielenią flamandzkich
sianokosów
zwarzona

wtedy
ukrzyżowany w czereśniach
widziałem
żółte spadające szpaki

Sowizdrzał

roznę
piołunem i gorczycą

głóg mi skarabeuszem

mrowiskom opowiadam
zielone fugi lasu
babim latem frymarczę
wikliną strugam wiatry

umieram zwykle
główką maku
ptactwem rozdziobaną

żeby potem
zakwitnąć chmielem
nad butelką
rozlanego piwa

Gościeradz

Tadeusz Machnowski

Śmierć transzei

Zrównałem z ziemią okop strzelecki
długą nadrzeczną transzeję
starannie

bo mam nadzieję
bo mam nadzieję od dziecka
że nikt nie napadnie

wybrałem dużo pocisków
trochę kości żołnierskich
zwierzęcych

wierzę
że czas blisko
najodleglejszy śmierci
najwyższy aby nie męczyć

została oto przekopana pamięć
przemieszany piasek z nadzieją
teraz żyto wkopie się w darń
teraz kłosy strzelą nad transzeją

Poszukiwana

Poszukiwana na wszystkich
odpustach
znaleziona w odciskach na piasku

złotą karuzelę
pod jesień
rozkręć
spłyń
przez zieleń
w myśli wielkim lesie
wracający okręt.

Pawłowice

Stanisław Leszczyński

Mit Adonisa

Po zżętej niwie
W tej co jest
Ciszy
Snują się pary żarliwe

Na kusym
Rżysku
Przysiadł duch zboża
Ofiara niech spocznie w pyle

W ogrodzie róża
Damasceńskim pąsem wabi
Kochanka
Na grób Afrodyty...

Kości zbytecznie w żarnach roztarte
Po zlękłym polu wicher rozniesie
Mięso na wolnym pieczone ognia
Podadzą ziemi kapłani

...Dzik
...Adonowi
...Rozszarpie
...Żyły

W zbożu złocistym
Jak włos ofiary
Mak i bławatek tęsknią do ojca

W ogrodzie róża
Zalewa się
Pąsem
Owoc granatu zna prawdę więc
Milczy

Olganowo

AREMI znaczy KARO

— Lubelska prasa codzienna podała niedawno wiadomość, że w końcu maja odbył się w Karlovych Varach... VII Międzynarodowy Festiwal Nowoczesnej Iluzji, a pan był jednym z członków polskiej delegacji. Muszę powiedzieć, że ta wiadomość była dla mnie pod każdym względem zaskoczeniem. Po pierwsze — nigdy nie orientowałem się, jak chyba większość przeciętnych obywateli, że także iluzjoniści posiadają swoje organizacje, festiwale i kongresy, po drugie — dotąd znałem pana jako historyka oraz kierownika jednej z lubelskich placówek kulturalnych...

— No cóż, wobec tego zacznijmy od pierwszego stopnia „wtajemniczenia"... Słowo iluzja pochodzi od łacińskiego „illusio" — żart, drwina, złudzenie. Z suchego hasła encyklopedycznego dowie się pan, że iluzja to m. in. „rodzaj produkcji cyrkowych; forma widowiskowa, mająca na celu wywołanie złudzeń zbiorowych; iluzjoniści wykorzystują zręczność rąk oraz specjalne rekwizyty. Iluzja znana już była w średniowieczu, służyła wówczas także celom religijnym i politycznym". Dzisiaj nikt, oczywiście, nie kojarzy sobie iluzji ze zjawiskami nadprzyrodzonymi, a jeśli chodzi o politykę, to w statutach wszystkich istniejących obecnie stowarzyszeń i związków iluzjonistów istnieje paragraf zabraniający wykorzystywania produkcji iluzjonistycznych do działalności politycznej. Co się zaś tyczy historii, to iluzją zajmowano się na długo przed średniowieczem: pierwsze pisane wiadomości pochodzą z Egiptu — z papirusów wynika, że za panowania faraona Cheopsa wielką sławą cieszył się „iluzjonista", właściwie — mag, Dedi, który przecinał żywą gęś na dwie części, a następnie, na oczach widzów, obie połowy ptaka zrastały się. Nawiasem mówiąc trick z gęsią cieszy się do dziś niesłabnącym powodzeniem.

— Na czym ten trick polega?

— Tego, niestety, nie mogę panu powiedzieć. Wstępując do jakiejkolwiek organizacji magików ręczymy słowem honoru, że nie będziemy zdradzać tajemnic iluzji. Wszyscy „zdrajcy" są wykluczani z organizacji. Oczywiście, współczesnym iluzjonistom nie chodzi o tworzenie wokół siebie nimbu tajemniczości czy niesamowitości. Iluzja polega wszak na wykorzystywaniu tylko i jedynie niedoskonałości ludzkich zmysłów, na zręczności. Ale ta „zabawa w zręczność" przestałaby być interesująca, gdyby widzowie znali kulisy „cudu", jaki się jawi ich oczom. Dodam tutaj, że w krajach, gdzie iluzja jest bardzo popularna, publiczność wręcz „smakuje" każdy występ iluzjonisty, nie chodzi jej często o efekt tricku, ale o obserwowanie doskonałości wykonywania owego tricku. W ten sposób produkcje iluzjonisty oceniane są na płaszczyźnie artystycznej a nie — „cyrkowej". I trzeba przyznać, że jest wielu iluzjonistów, których nawet koledzy po fachu nie potrafią rozszyfrować. Posłużę się przykładem z niedawnej — stosunkowo — przeszłości. Żyjący w dziewiętnastym stuleciu francuski iluzjonista Józef Boolter, występujący pod pseudonimem „Boltier da Kosta", popisywał się trickiem, którego tajemnicy nie rozwiązano do czasów dzisiejszych. „Boltier da Kosta" pojawiał się na scenie z niewielkim kuferkiem. Wyjmował z niego „kostkę do gry" o boku 15 cm i stawiał ją na stole o cienkim blacie; widać było dokładnie że między nogami stołu nie ma żadnej kryjówki. Po dotknięciu kostki „pałeczką magiczną" zaczynała się ona rozrastać tak, że po chwili długość jej boków osiągała 80 cm. Wówczas odchylała się górna ściana i z wnętrza wychodziła żona iluzjonisty. „Boltier da Kosta" był tak dumny ze swego tricku, że w testamencie zakazał żonie wyjawiania jego tajemnicy.

— Skąd jednak określenie: „iluzja nowoczesna"?

— Ponieważ istnieje od pewnego czasu pojęcie iluzji tradycyjnej. Iluzja nowoczesna wyodrębniła się. Tradycjonaliści posługują się nierzadko ogromnymi dekoracjami tworzącymi na scenie „klimat" egipski czy hinduski, występują w bogatych, efektownych strojach, a w swoim repertuarze posiadają „mrożące krew w żyłach" tricki, jak wspomniany trick z gęsią, przepiłowywanie ludzi, ścinanie głów, połykanie mieczy itp. Jednym z takich bardziej znanych tradycjonalistów jest właściciel wielkiego, międzynarodowego varieté „Colorado — Karlov", którego występy oglądałem w ubiegłym roku w Jugosławii. Natomiast iluzja nowoczesna opiera się głównie na zręczności palców i dłoni, stąd też jej inna nazwa — manipulacja. Manipulatora cechuje tempo, elegancja, a przede wszystkim zręczność i jeszcze raz zręczność. Jego produkcje to najczęściej różne ewolucje z kartami do gry, dzielące się na sztuki zręcznościowe, zręcznościowo-matematyczne i matematyczne.

— Ile czasu zajmuje panu przygotowanie tricku?

— Trudno mi na to odpowiedzieć. Niektóre wymagają całych miesięcy albo i lat ćwiczeń, inne „wychodzą" już po kilkakrotnym powtórzeniu. Dla nowoczesnego iluzjonisty, występującego przed mało wyrobioną publicznością, najbardziej przykra jest świadomość, że widzowie zazwyczaj nagradzają gorącymi oklaskami właśnie owe efektowne, ale nie wymagające dłuższego przygotowania tricki. Znowu posłużę się przykładem: zwykle prawie nie zauważony przechodzi trick z grupy „latających kart" polegający na tym, że wyrzucona w powietrze karta zachowuje się jak... bumerang — po osiągnięciu pewnego punktu w przestrzeni wraca do ręki iluzjonisty. Sztuka ta wymaga wielu miesięcy ćwiczeń i w ogóle świadczy o dobrze opanowanym warsztacie. Ale w prawdziwy zachwyt publiczność wpada wówczas, gdy iluzjonista zamienia trzy czyste kartki w trzy banknoty stuzłotowe. A tej właśnie sztuki gotów byłbym pana nauczyć w ciągu godziny... Wracając zaś do spraw warsztatu: wśród iluzjonistów utarło się powiedzenie, że od w i e d z i e ć, jak wykonać dany trick, do u m i e ć go wykonać, wiedzie bardzo długa droga. Od umieć p o k a z a ć, do pokazać p u b l i c z n i e — jeszcze dłuższa, a najdłuższa — do publicznego pokazania poznanego tricku w sposób a r t y s t y c z n y.

— W jaki sposób doszedł pan do zawodu iluzjonisty?

— Nie jestem zawodowym iluzjonistą. Przecież sam pan powiedział, że zna mnie pan jako historyka. Można by już prędzej powiedzieć, że jestem półzawodowcem: połowie widzów sprawiam swoimi produkcjami... zawód, a połowie satysfakcję. Iluzją zajmuję się przecież głównie dla własnej satysfakcji. I tak się dzieje w bardzo wielu przypadkach. Mało kto zdaje sobie sprawę, jak wielu ludzi pasjonuje się iluzją. W klubach iluzjonistów amatorzy spotykają się z zawodowcami, robotnicy z profesorami wyższych uczelni, inżynierami, fizykami. Zaczyna się zwykle od tego, że w młodości przypadkowo styka się człowiek ze „sztuczkami magicznymi", odkrywa w sobie zdolności w tym kierunku, zgłębia interesujący go przedmiot coraz bardziej, a nierzadko... porzuca wyuczony zawód przechodząc na... zawodowstwo. Ja na przykład w czasach szkolnych, w Sieradzu, miałem kolegę, którego wujek posiadał przed wojną niewielki sklepik z „magicznymi" rekwizytami. Po wojnie znaleźliśmy na strychu coś niecoś z owych rekwizytów, jakieś podręczniki dla iluzjonistów-amatorów i... zaczęliśmy „produkcje". Najpierw przed kolegami szkolnymi, później przed uniwersyteckimi. Przed „prawdziwą" publicznością wystąpiłem jednak w wiele lat po ukończeniu studiów, w domu kultury w Kraśniku, zachęcony przez tamtejszego kierownika. Było to w roku 1962. Ale moje prawdziwe spotkanie z iluzją miało miejsce dwa lata później, podczas pobytu w Czechosłowacji. Zupełnie przypadkowo poznałem wówczas starszego już pana, Roberta Zemana. Z zawodu był szlifierzem szkła z zamiłowania — iluzjonistą, należał do Praskiego Klubu Magicznego. Dzięki niemu nawiązałem kontakty z innymi iluzjonistami, a wkrótce sam zostałem członkiem tego klubu. Na wyższy stopień wtajemniczenia wprowadził mnie jednak nasz najlepszy polski manipulator, Tomasz Chełmiński — „Salvano".

— Czy mógłby pan podać nazwiska najbardziej znanych polskich iluzjonistów?

— Poza „Salvano" — który, nawiasem mówiąc, od dłuższego czasu występuje z ramienia „Pagartu" w Jugosławii — wymieniłbym naszego najstarszego mistrza w tej dziedzinie — mgr. Juliusza Konczyńskiego — „Nemo" (występuje od 1934 r.), który na ostatnim Międzynarodowym Festiwalu Nowoczesnej Iluzji w Karlovych Varach był przewodniczącym delegacji polskiej, następnie Andrzeja Słowińskiego — „Astrallvi", który po sukcesach w krajach Beneluxu zdobył na ostatnim festiwalu w Pradze nagrodę za nowości. Iluzjonista „Ramigani" to Jan Ławrusiewicz, kierownik artystyczny i muzyczny znanego zespołu gitar hawajskich „Marimba". „Lemano", który na festiwalu w Karlovych Varach w 1967 r. zdobył IV miejsce, to Roman Lemanik. Jedyna polska „para magiczna" to małżeństwo Kieresów. Mgr Władysław Kieres studiował filozofię i socjologię, był asystentem na Uniwersytecie Jagiellońskim, parał się dziennikarstwem. Teraz sprawuje funkcję dyrektora Zjednoczonych Przedsiębiorstw Rozrywkowych. Kieres ma na swoim koncie występy w Stanach Zjednoczonych. On też jest autorem jedynej polskiej książki mówiącej o sprawach iluzji — „Z magią na ty". Tutaj warto wspomnieć, że kilka lat temu polska telewizja prezentowała cykl audycji — „Magiczna pałeczka", prowadzony przez inżyniera Mariana Kryńskiego — „Rolanda" i mający za zadanie wprowadzić hobbystów „magii" w jej arkana.

— W jakich krajach iluzja cieszy się największą popularnością?

— We Francji, Wielkiej Brytanii (gdzie obchodzony jest nawet Dzień Magii), w NRF i Holandii. A w ogóle na świecie występuje publicznie około dwudziestu tysięcy iluzjonistów. I oni i iluzjoniści-amatorzy zrzeszeni są w istniejącej od 1933 r. Międzynarodowej Federacji Stowarzyszeń Magicznych — FISM (Federation Internationale des Societes Magiques) z siedzibą w Amsterdamie. Na czele federacji stoi prezydent. Obecnie jest nim Holender, Henk Vermeyden. Sam jest doskonałym iluzjonistą, posiada zacięcie dydaktyczne — wychował kilku mistrzów świata, wśród nich najlepszego dotychczas manipulatora — Freda Kapa, wreszcie — posiada firmę „Tricks", sprzedającą rekwizyty dla iluzjonistów. Właśnie w Amsterdamie, na początku lipca bieżącego roku, odbył się XI Światowy Kongres Iluzjonistów. Oczywiście nie sposób wyliczyć wszystkich stowarzyszeń i klubów zrzeszonych w Federacji. Ja osobiście należę do dwóch: Praskiego Klubu Magicznego oraz do Międzynarodowego Stowarzyszenia Amatorów i Zawodo-

„AREMI" podczas jednego z TWP-owskich spotkań w Puławach.

Jednym z najznamienitszych uczestników VII Międzynarodowego Festiwalu Nowoczesnej Iluzji w Karlovych Varach był Szwed „Magini", specjalista od iluzji komicznej, zdobywca 30 pierwszych nagród na międzynarodowych festiwalach iluzji.

ZIEMIA

Dokończenie ze str. 1

rzu, a Florek mógł przysiąc, że włożył ją tam po uwagach kierowcy. Dobrze, że chociaż on, zawsze to władza...

— A ja na gospodarkę — pochwalił się, oblizując kolejnego grubaśnego jak palec skręta.

Kobieta wtuliła głowę w tobołek, czekając na śmiech, jakim przyjmą mężowskie oświadczenie. Byli jednak poważni, prokurator pochwalił nawet:

— To mądrze. Ziemi tu będzie pod dostatkiem, chociaż jeszcze nie jutro. Wiele pracy pochłonie naprawa tego, co hitlerowcy na Żuławach napsuli. Sto tysięcy hektarów pod wodą, zniszczone budynki, brak maszyn i żywego inwentarza. Ale ludzi potrzeba już dzisiaj, bo czego nie zaczniemy teraz, w czterdziestym piątym, w następnych latach trudno będzie odrobić.

Za Nowym Stawem woda na drodze sięgała do osi. Zerwał się wiatr od morza i jakby przypływ przeszedł przez pola. Silnik prychnął raz i drugi, aż dziw, że ciągle jeszcze mruczał niskim basem.

— Dalej dalibóg niepodobna — stwierdził aptekarz i rzeczywiście kierowca uciekał już wstecznym biegiem przed nacierającą falą.

Tego dnia nie dotarły do Nowego Dworu pierwsze kartofle, nie dojechał pan magister do „swojej" apteki, prokurator nie objął urzędu. Wszyscy nocowali w jakiejś klitce, pokotem, na starych siennikach, każdy ze swoim tobołkiem wciśniętym pod głowę.

* * *

Takiej ryby nie pamiętali najstarsi rybacy! Waliła od morza przez szerokie wyrwy w wałach, szła od Wisły, Nogatu i Tugi. Ludzie ciągnęli metrowe szczupaki, wyłuskiwali je spośród gałęzi zatopionych wierzb, gdzie płyciej — gonili z kołkami po polach. Pełne były tej ryby przydrożne rowy, w których najwyższy chłop z głową leciał do dna, buszowała w zaroślach i na zalanych polderach. Bywało — wrzucisz do rowu druciany sak, a o świcie taszczysz ćwiartkę ryby — dwadzieścia pięć kilo szczupaka, lina, okonia. Kto tam by rozeznał te wszystkie gatunki!

Obrodziła rybą żuławska ziemia. Rybą i ptactwem. Wyjdziesz za chałupę, jaja z gniazd wybierzesz, tłustą kaczkę kijem dosięgniesz, tylko jazgot w powietrzu, że w uszy kłuje. Najbardziej krzyczały mewy — ludzie nosili w głowach ten ptasi pisk, budził ich wśród nocy, gonił w drodze do miasta, świdrował mózgi. Z czasem przywykli i do tego...

A woda ciągle stała. Dawno poszła już wiadomość, że łatają dziury w wysadzonych wałach, że morzu zagrodzili drogę na pola, że Wisłę odcięli nasypem od polderów. Nikt nie wiedział, czy prawda, mało kto widział na własne oczy, ot — szły wieści. Ale woda stała. Po deszczach większa, czasem opadła o centymetr, mętna, żółta i słona, broniła przystępu do ziemi.

Czepili się ludzie budynków. Gdzie kto przysiadł, sam albo z rodziną, walił młotkiem w ściany, szył gwoździami deski, poprawiał dachówki. Brali się chłopi dekarki i ciesiółki, byli za murarzy i zdunów. Trafiła się tu i ówdzie poniemiecka maszyna — rychtowali maszyny, trafił się kawał żelastwa — ciągnęli do obejścia jak najdroższe skarby. I tak, zanim jeszcze zobaczyli tę ziemią, zanim zgnietli w dłoniach jej grudy — już w nią wrastali.

* * *

Zaczęli w piątkę, pięciu kawalerów, chłopów na schwał, ludzi nie mających nic do stracenia. Nazwano ich brygadą chociaż nie mieli doświadczenia i narzędzi, ale kto w czterdziestym piątym pytał na Żuławach o doświadczenie i troszczył się o narzędzia? Najpierw pomagali przy łataniu dziur w wiślanych wałach, odcinali morskiej wodzie dostęp do pola, a kiedy ślady barbarzyństwa pokryte zostały tonami piasku, faszyny i darni, zabrali się do tej wody, która w zamierzeniach okupanta na sto lat miała nas pozbawić urodzajnej ziemi.

W Chłodniewie zastali kupę żelastwa. Budynek dawnej pompowni, jednej z tych, co z depresji ciągnęły wodę do morza, ledwo trzymał się kupy. Dach przeciekał, dziury na przestrzał — pewnie od pocisków, na hali wody po kolana. Łazili po tej ruinie, zaglądali za maszyny, szukali części, jak to zwykle pierwszego dnia na nowej robocie — chcieli wiedzieć na czym stoją.

Wrażenie było fatalne, ale przecież robota ruszyć musiała. Roman zdobył się nawet na optymizm:

— A jednak, psubraty, nie wysadzili!

— Widać bardzo pilno im było do domu. Z miłości do nas tego nie zostawili.

— Stać stoi, ale kulawo — podsumował brygadzista, — a jak stoi, to i ruszy.

Przytaknęli. Byli pewni, że ruszy, ale jak to się stanie — nie mieli zielonego pojęcia. Zespoły silników i pomp mocno nadwyrężone, brakowało wielu elementów, ale najbardziej martwiła ich piwnica — całkowicie zalana, a tam przecież pompy chłodzenia i paliwa, plątanina przewodów o nieznanym przebiegu i Bóg jeden wie, co jeszcze!

W powiecie powiedzieli, że nurka nie będzie. Brygadzista przywiózł tę wiadomość mocno zafrasowany:

— Wyśmieli mnie tylko i na tym koniec. Nurków — powiadają — potrzeba nam w portach. Musicie radzić sobie sami, albo czekać na swoją kolej. Cholera z ich czekaniem, jak na jednym polderze dwadzieścia tysięcy hektarów czeka na te pompy, a chłopi pomstują na czym świat stoi. Jasiu, będziesz za nurka? — pytaniem zakończył swoją tyradę.

I został Janek „za nurka" przy remoncie chłodniewskiej pompowni. Uwiązany na sznurze skakał do brudnej wody, chociaż późna jesień nie była sposobna do takich kąpieli. Ciągnął z dna potopione części, pod wodą mocował się z kluczem, trząsł się z zimna, ale swoje zrobił. Kiedy ostatni raz wyłaził z topieli, majster miał gębę jak księżyc.

— Napluć na ich nurka, tyś Jasiu najlepszy nurek!

Brakujące łożyska wydłubali z wraków czołgowych, odpucowali wtryskiwacze do diesla i wreszcie — zaperkotał pierwszy silnik. Potem ruszył drugi i na zmianę, przez okrągłą dobę, pompy odsysały wodę z dwudziestu tysięcy hektarów zatopionego poldera. Opadała zrazu po milimetrze, opornie, ale przecież opadała. Bywało — przyszedł sztorm, przerwał nasyp i napędził nowej wody, bywało — silne deszcze zniweczyły tygodniowe pompowanie, ale wiedzieli już z całą pewnością: coś z tego będzie!

Dłubali właśnie przy trzecim zespole pomp. Dwa pozostałe mruczały monotonnie, ale miny mieli kwaśne — woda znów przerwała wał, podniósł się poziom, majster klął, nawet Jasio-nurek nie miał ochoty na żarty.

— Patrz pan, panie majster — wycieczkę mamy.

— Nie błaznuj, Jasiu. Trzymaj ten klucz, do cholery, bo mi pałuchy przytłucze!

— Jak pragnę Boga — wycieczka, dużo ich.

Wyszli popatrzeć przed budynek. Chłopów szło kilkunastu, same osiłki, w rękach sękate dębczaki, jakiś orczyk. Stanęli murem.

— To jak będzie wedle tego pompowania: pójdzie precz woda?

Zbaranieli całą piątką. Czego u diabła chcą te dryblasy, rozum im pomieszało, czy prowokacja jakaś? Roman nieznacznie rozejrzał się za kluczem, Jasio ścisnął w garści „francuza". Chłop ciągnął:

— We wsi gadają, że to całe pompowanie to lipa, i że z odwodnienia nic nie będzie. Za dnia pompujecie wodę do góry, a w nocy napuszczacie na pola...

Tego było chłopakom za wiele. Postąpili pół kroku, któryś nie wytrzymał:

— Kto ci to powiedział, chamie zbuntowany? Gadaj, kto ci powiedział!

— Niemcy we wsi gadają...

— To ty, bydlaku, Niemcom wierzysz? Dywersyjne plotki roznosisz? — majster pienił się ze złości. — Człowiek po dwie doby oka nie zmruży, w lodowatej wodzie ze łbem się nurza, ze starego żelastwa zębami części wyrywa, a taka świnia z kijem przyjdzie i jeszcze pierdoły ci opowiada!

— Ale wody przybyło — bronił się chłop przepraszająco.

— Przybyło, bo od ostatniego sztormu wał diabli wzięli. A ty zamiast słuchać, co Niemcy gadają, poszedłbyś dziurę łatać.

Niemal siłą wciągnęli przybyszów do hali. Pokazywali pompy, pracujące silniki, rozgrzebany trzeci agregat, kilku wepchnęli nawet do piwnicy, gdzie woda stała jeszcze wyżej kolan.

— Opowiedzcie teraz we wsi coście widzieli. A jak kto głupotę będzie szerzył — kłonicą. Najlepiej przez łeb — poradził majster, kiedy zbierali się do siebie.

* * *

Florek oznajmił żonie jeszcze spod pierzyny:

— Pójdę dzisiaj w pole. Popatrzę jak ziemia...

Aż się zatrzymała przy gorącej blasze, takim uroczystym tonem wygłosił to zdanie.

— W jakie pole, Floruś, toć woda.

— Pójdę w pole. Na górce pewnie obsycha, trza będzie z pługiem.

Kamena str. 6

wych iluzjonistów, które zrzesza ponad tysiąc członków z przeszło czterdziestu krajów. Warto dodać, że także w Polsce istniał do 1960 r. zawodowy klub iluzjonistów, który jednak rozwiązał się. Obecnie zawodowi iluzjoniści mają swoją sekcję w Związku Zawodowym Pracowników Kultury i Sztuki.

— Przy tak wielkiej liczbie organizacji magicznych musi chyba istnieć na świecie sporo wydawnictw książkowych i periodycznych na temat iluzji?

— Oczywiście. Jeśli chodzi o książki to najpoważniejszym dziełem dotyczącym historii iluzji jest książka niedawno zmarłego filozofa, matematyka i iluzjonisty dr. Wilsmanna, o nieco szokującym tytule: „Przecinanie młodej kobiety". Liczne wydania i tłumaczenia na wiele języków świata osiągnęły w sumie milion egzemplarzy. Dużą popularnością cieszą się książki francuskiego dziennikarza i iluzjonisty Michaela Seldowa. Jeśli chodzi o czasopisma, to jedynym fachowym tygodnikiem zajmującym się sprawami iluzji jest „Abrakadabra". Wydaje go mr. Goodlife w Birmingham w Wielkiej Brytanii. Poza tym prawie każda organizacja wydaje swój periodyk. Np. pismem Międz. Stow. Amat. i Zaw. Iluzjonistów jest miesięcznik „Magie" (pismo liczy już 50 lat), organem czechosłowackiej Unii Praskich Magików jest kwartalnik „Czary Mary". W Austrii wychodzi czasopismo „Aladin". W Szwajcarii — „Hokus-Pokus". Wszystkie te periodyki nie są dostępne ogółowi czytelników, mogą być prenumerowane jedynie przez członków klubów i stowarzyszeń magicznych. Na ich kolumnach drukowane są przecież nierzadko opisy niektórych tricków, podawane przez ich „wynalazców".

— Ale w ten sposób iluzjoniści zdradzają swoje tajemnice innym kolegom po fachu, choć „nimb tajemniczości" wobec widzów zostaje zachowany...

— No, nie jest tak źle. Publikowane tricki to najczęściej nowe opracowania sztuk dobrze już znanych osobom „wtajemniczonym". Zupełnie nowy, rewelacyjny trick pozostaje zwykle tajemnicą wynalazcy. Czasem można go kupić. Czytałem niedawno o tricku, którego tajemnica kosztuje 20 tys. dolarów.

— Pod jakim pseudonimem występuje pan przed publicznością?

— Mój pseudonim brzmi — „AREMI". W języku sycylijskiej mafii oznacza to kolor karciany — karo.

Ponieważ niżej podpisany nie należy do żadnej organizacji magicznej, może zdradzić na zakończenie, kto się za tym pseudonimem ukrywa. Rozmawiałem z mgr historii Markiem Zdrojewskim, kierownikiem lubelskiej „Chatki Żaka".

Mirosław Derecki

O kłopotach Zamojszczyzny

Klimat i pieniądze

Jerzy Dostatni

W TYM klubie od 6 lat nie zdarzyło się, aby w czasie zabawy, a jest ich kilka każdego roku, przewrócono jakiś stolik — zapewnia Stanisław Wujek, którego w całym Gorajcu nazywają familiarnie wujkiem. To stwierdzenie zaś ma oznaczać, że od chwili otwarcia klubu „Ruchu" nie zdarzyła się tam żadna pijacka rozróbka. Więc Wujek-wujek słusznie mówi o tym z dumą, bo to należy rozumieć, że w klubie nie tylko odbywają się imprezy, nie tylko się mówi, śpiewa i tańczy, ale że ten klub promieniuje na zewnątrz, odmienia ludzi, wprowadza nowe obyczaje. Wujek ma za sobą 39 lat pracy kulturalnej w miejscowym środowisku, najpierw jako członek różnych zespołów, a od 6 lat jeden z najbardziej czynnych działaczy miejscowej rady społecznej klubu.

Do Gorajca pojechałem z grupą działaczy kulturalnych, aby podyskutować o działalności Powiatowej Rady Klubów powiatu zamojskiego. Wcześniej otrzymaliśmy obszerną informację na piśmie, która — jak należy przypuszczać — miała być podstawą dyskusji. Ale nie była. Z tego prostego powodu, że znalazło się w niej pełno liczb i faktów, pokazujących dodatnią stronę tej działalności, a tylko w trzech czy czterech miejscach nieśmiało napomknięto o drobnych niedociągnięciach. Więc co — raz jeszcze chwalić klub, który we współzawodnictwie wojewódzkim i tak uzyskał wysoką ocenę? Więc przedłużać listę pochwał dla rady, na której terenie działa aż 400 placówek kulturalnych, licząc w tym 11 orkiestr dętych w samym Zamościu? Pogoda była wspaniała, lasy zwierzynieckie soczyste zielenią i zapachem, ale czy warto było kierować 4 samochody — syrenkę, warszawę, wołgę i nysę — aż do Gorajca, 150 km od Lublina, aby — jak to powiedział przewodniczący Wojewódzkiej Rady — utonąć w magii liczb?

Czas był tak ograniczony, że nie zdołałem nawet na kilka minut dopaść prezesa gminnej spółdzielni by się dowiedzieć, jak to jest od strony handlowej z tym piciem wódki. Nie wiem więc, czy w Gorajcu piją mniej niż w całym powiecie zamojskim czy więcej. Pozostaje tylko statystyka, a figle statystyki są znane, o czym świadczy dowcip z brodą o każdym Polaku zdradzającym żonę, bo co trzeci robi to trzy razy. W Udryczach np. aż 90 proc. mieszkańców (dorosłych) korzysta z miejscowej biblioteki, co jest chyba rekordem krajowym, podczas gdy przeciętna dla powiatu jest trzy razy niższa.

Nie wiem więc, jak jest z tą wódką w Gorajcu, ale wiem, że — przeciętnie biorąc — mieszkaniec województwa lubelskiego wydał na spirytus i wódki w roku ub. 658 zł, natomiast mieszkaniec powiatu zamojskiego „tylko" 453 zł. Różnica jest bardzo poważna i Stanisław Wujek może chyba słusznie powiedzieć: to jest wcale nie bagatelny wynik i mojej działalności. Powtórzyć to zaś może także kilkuset innych działaczy kulturalnych powiatu.

Z owej magii liczb warto jednak przytoczyć kilka, bo przecież wynikające z nich efekty spowodowały to, że m. in. bilans wpływów alkolowych jest tak stosunkowo niski. A więc 55 klubów „Ruchu" i Rolnika w powiecie, 160 zespołów artystycznych, 176 punktów bibliotecznych, 15 tytułów pism w każdym klubie, 7 gromadzkich ośrodków kultury, 500 uczniów w szkołach i ogniskach muzycznych, prawie 28 zł wydawanych przez każdego mieszkańca rocznie na zakup książek (3 miejsce w województwie), 4 tysiące telewizorów (4 miejsce w województwie), codziennie przynajmniej 1 odczyt TWP, ponad 30 uniwersytetów powszechnych...

Ale najciekawsze, godne osobnego omówienia, sprawy poruszył w — jak się to oficjalnie nazywało — uzupełnieniu informacji kierownik Wydziału Kultury Powiatowej i Miejskiej Rady Narodowej, Stefan Ćwik. Szkoda tylko, że jakby na marginesie, nieco wstydliwie i ogólnikowo. Więc i te fakty nie wywołały żywszej dyskusji, bo — po pierwsze — odbiegały od optymistycznego tonu oficjalnej informacji na piśmie, po drugie — nie leżą w kompetencji Powiatowej Rady Klubów. A jeżeli nawet częściowo tak, to nie było wiadomo, czy i co w tej sprawie uczyniła owa rada. Zresztą najpewniej nic by uczynić nie mogła, bo wszystkie te sprawy wyrastają najczęściej na wciąż żyznej glebie biurokracji, z którą przegrywa nie tylko pojedynczy obywatel, ale często i gęsto także tzw. czynnik społeczny.

Najpierw przedziwna sprawa Liceum Sztuk Plastycznych. Kształci ono obecnie techników pamiątkarstwa. Jak wiemy z codziennej praktyki, Lubelszczyzna jest wyjątkowo uboga w pamiątki, więc już nie tylko fachowcy z tej branży, ale i kandydaci na tych fachowców powinni być cenieni na wagę złota. W praktyce oznacza to, że opracowane przez nich wzory pamiątek powinny co rychlej znaleźć się w produkcji i sprzedaży.

Zamojscy kandydaci na techników pamiątkarstwa wykonali już w swoim liceum wiele pięknych rzeczy. Zyskały one wysoką ocenę zarówno miejscowych plastyków jak i odpowiedniego departamentu Ministerstwa Kultury i Sztuki. W przemyśle od dawna propaguje się słuszne hasło: od pomysłu do przemysłu, co ma oznaczać, że czas od opracowania dobrego pomysłu do jego realizacji powinien być możliwie najkrótszy. Szkoły zawodowe od lat wykonują pomoce naukowe, różne wyroby przemysłowe i sprzedają je z zyskiem, za miliony złotych, „Cezasowi" lub przedsiębiorstwom państwowym. Wykonują także usługi dla ludności, oczywiście za zgodną z ogólnym cennikiem odpłatnością.

Paradoks zaczyna się z chwilą, gdy chodzi o kulturę. Okazało się bowiem, że Liceum Sztuk Plastycznych — nie tylko zresztą zamojskie — nie może sprzedawać swoich wyrobów. Ani sklepom, ani indywidualnym czy zbiorowym turystom. Najwyżej może je podarować, ale wtedy znów powstaje niebezpieczeństwo, że przy jakiejś kontroli powstanie pytanie: a co stało się ze 100 kg drewna lub 10 kg słomy, które zakupiono jako pomoce naukowe, a które ulotniły się ze szkolnych magazynów bez śladu? A bez śladu dlatego, że trudno przecież brać pokwitowanie od kogoś, komu zrobiło się prezent... Póki co zaś 2 domorosłych chałupników produkuje ze słomy co się da na pamiątkę pobytu w stolicy Roztocza i europejskiej stolicy Renesansu.

Albo sprawa, jak to określił kierownik Wydziału Kultury, klimatu. Lekarz powie, że w odpowiednim klimacie można uratować życie, inny będzie działał zabójczo. W działalności kulturalnej na wsi ważny jest klimat współpracy różnych organizacji. Ale tu samym klimatem żyć nie można. I cóż z tego, jak ostrożnie stwierdził kierownik, że ten klimat współpracy ze spółdzielczością poprawia się, gdy prawie żadna spółdzielnia nie chce współuczestniczyć w ponoszeniu jakichołwiek kosztów. W statucie każdej spółdzielni można przeczytać, że jej obowiązkiem jest działalność kulturalno-społeczna. Najczęściej przejawia się to w zorganizowaniu tzw. świetlicy, w której poza akademiami i zebraniami prawie nic się nie dzieje. Więc już dość dawno na szczeblu wojewódzkim zawarto porozumienie, że spółdzielnie zrezygnują z posiadania martwych świetlic na rzecz współudziału w życiu — i kosztach — placówek środowiskowych. I poszły w dół odpowiednie pisma, ale albo utknęły one gdzieś na szczeblach hierarchicznej drabiny, albo nie czytane, a w każdym razie niewykonywane, wylądowały w magazynach makulatury. Okazuje się to nawet w Gorajcu. Prezes tamtejszej gminnej spółdzielni przyznaje wprawdzie, że zebrania członków i zarządu odbywają się w klubie, że na żadną imprezę czy akademię im tego klubu nie odmówiono, ale jego dalszy gładki wywód streszcza się krótko: pieniędzy nie damy. Co wśród obecnych wywołuje zrozumiały odruch niechęci i zdziwienia. Kierownik Wydziału Kultury usiłuje nas przekonać, że właśnie ów klimat współpracy jest już lepszy, ale chyba sam w to nie wierzy, tylko nie chce drażnić prezesa. Ja też nie chcę, ale jak wybrnąć z dylematu: klimat bez pieniędzy czy pieniądze bez klimatu?

Warto też wrócić do problemów orkiestry im. Namysłowskiego. O wielu z nich pisał niedawno w „Kamenie" Romuald Wiśniewski. Część z tych problemów, jak chociażby stroje, już załatwiono pozytywnie. Ale oto wyłaniają się nowe. Od pewnego czasu orkiestra daje co miesiąc nowy program na antenie radiowej. Słucha jej więc cała Polska, ale w rezultacie ma ona coraz mniej czasu na występy bezpośrednio w salach koncertowych. I repertuar się wyczerpuje, bo Namysłowskich zabrakło, a utworów nowych dla orkiestry włościańskiej nikt już nie pisuje.

Ale największy szkopuł z czym innym. Stary Zamość przestał już być zapleczem tej sławnej orkiestry. Częste i długotrwałe próby zajmują tyle czasu, że prawie żaden autentyczny chłop, jeżeli nie liczyć topniejącej z wiekiem grupki starych wiarusów, nie wykroi już tyle wolnego czasu z codziennych zajęć na roli. Więc coraz więcej w orkiestrze młodych absolwentów ze szkół muzycznych Zamościa, Lublina i nawet dalszych miast, często nic wspólnego z Zamojszczyzną nie mających. Muzycy otrzymują po 1200 zł miesięcznie — dużo dla amatora, bardzo mało dla zawodowca. Kto będzie Flemingiem i wynajdzie penicylinę, zanim na tej linii podziału dojdzie do konfliktów?

W rozwoju zarówno bazy materialnej jak i działalności kulturalnej w powiecie zamojskim ma swój duży udział „Ruch". Na zakończenie naszej bytności w Gorajcu zastępca dyrektora lubelskiego przedsiębiorstwa, Zbigniew Frąc, obiecał kierowniczce klubu nie tylko nagrodę za dobrą pracę, ale przede wszystkim wyposażenie dla zielonego klubu, który zamierza ona uruchomić pod oknami tego normalnego, czyli starego budynku, odremontowanego pracą społeczną mieszkańców. Ale równocześnie centrala warszawska „Ruchu" drukuje dla całego kraju widokówki z zamojskim Ratuszem sprzed renowacji. Nie trzeba być historykiem sztuki, aby dostrzec, że sylwetka i wiele szczegółów tego szacownego

Dokończenie na str. 11

I zaraz zadumał się z rękami pod głową, ze wzrokiem wbitym w powałę. Koniecznie z pługiem, a konia wciąż nie ma. Sąsiad obiecywał, ale jak obeschnie — wyjdzie na swoje.

Jakby odgadła jego myśli:

— Floruś, przecie konia nie ma.

— Milczałabyś — mruknął gniewnie, więc dodała szybko:

— Nie martw się, poradzimy, jak u nas na starym. Wprzęgnę się i choć kawałek zaorzemy. Zaorzemy, Floruś, choć kawałek, byle tylko obeschło...

— Głupiaś. Tu nie poradzi. Ziemia, mówią, jak glina — ciężka. Trza konia albo i ze dwa.

Odsunął miskę z wczorajszym barszczem, wciągnął stary sweter.

Za chałupą było niżej, brodził w wodzie i szlamie, ledwie przez cholewy nie przelewała się zawiesista zupa. Dalej grunt się podnosił porośnięty trzciną i łozą. Szeleściły łamane źdźbła, z suchym trzaskiem ustępowały pod butami łamane łodygi. Jeszcze nie wiedział, że będą jego przekleństwem, kolejną przeszkodą na drodze do ziemi...

Gdzie wyżej — było już sucho. Rozejrzał się — żywej duszy. Wokół chybotliwa kurtyna trzcin, nawet chałupy nie widać, tylko smużka dymu nad kominem, prościutko w niebo. Ukląkł na oba kolana, rozdrapał ziemię bez pośpiechu, głęboko, zaczerpnął pełną garść czarnego masła, zacisnął pięść. Poczuł wilgotny chłód, kropla wody wcisnęła się za wystrzępiony mankiet starego swetra. Wyprostował dłoń, palcem drugiej ręki rozgniatał zbite grudki, rozmazywał je jak masło na skibce chleba. Wziął do ust, smakował, otarł dłonie o portki i wstał z klęczek.

— Ziemia będzie tu — mruczał skręcając machorczaka, — właśnie tu, głupia babo!

* * *

Wacek przyjechał coś z tydzień po nim, też z Lubelszczyzny, od Łukowa bodaj. Zaszedł wtedy do niego, zagadał o ziemi. Przywiózł dwa konie i trochę najpotrzebniejszych statków. Postawił wszystko na jedną kartę i Florek od razu wiedział, że Wacek będzie wygrany.

Nie zdążył jeszcze powiedzieć sąsiadowi o swoim odkryciu w trzcinach na górce.

— Uprząż ładuję, Floruś. Za parę dni trzeba będzie z pługiem. Ziemię widziałeś?

Florek pokiwał głową. Pewnie, że widział, ale jak taką ziemię bez koni...?

— Zaorzemy z hektar mojego — ciągnął Wacek schylony nad półszorkiem — i przejdziemy na twoje. Po ziarno by trza do Nowego Dworu.

W chałupie Florek rzucił do żony od drzwi:

— Po ziarno trzeba. Za parę dni idziemy z pługiem.

I poszedł do szopy klepać lemiesze.

* * *

Po nocach łuny stały nad Żuławami, za dnia dymy snuły się leniwie, jakby wojna wróciła na wiślaną deltę. Bo i była to wojna, którą chłopi wydali złośliwej przyrodzie. Gdzie ustąpiła woda — trzciny rzucały się na pola, chwasty rosły jak w cieplarniach, chmury komarów przysłaniały słońce. Była ziemia i nie było jej pod lasem zarośli. Chodzili w tych trzcinach zafrasowani — ani ręką wyrwać, ani pługiem wyorać. Ogień zajął więc miejsce wody na żuławskich polach. Na tysiącach hektarów trawił trzcinowe zarośla, w popiół zamieniał ten dziwny busz, broniący przystępu do ziemi.

Na dymiące pogorzelisko wyszli ludzie z pługami. Zapuszczali lemiesze w plątaninę twardych korzeni, darli skibę za skibą, łakomi na ziemię, odurzeni jej zapachem. Nie schodzili z pola i nocą, byle księżyc przedarł się przez chmury, byle koński zad było widać.

Po wsiach chodziły jeszcze pogłoski. W wileńskiej śpiewnej mowie, w kurpiowskich zmiękczeniach, w mazurzeniu i niemieckim szwargocie — niosła się fama, od której drętwieli najtwardsi: „nie bądźcie głupi ludzie, wrócą Niemcy, na nic wasza praca, na nic krwawica!"

I Florkowi bąknęła żona, co niektórzy we wsi gadają. Cisnął łyżką o stół, aż bryznął na ścianę kapuśniak.

— Głupiaś! Byle czego nie gadaj i to sobie pamiętaj, że moja ziemia jest tu!

Oczy nabiegły mu krwią; nigdy nie wspominała już o tym mężowi, nawet w takie ranki, kiedy wstawała po bezsennej nocy z oczami opuchniętymi od płaczu.

Do siewu wyszli gromadnie. Nie poznasz, kto z północy, kto z południa, komu od Lublina, a komu z Mazowsza wypadła droga na Żuławy. Szli wyciągnięci w szereg, z płachtami na szyi, z dłońmi pełnymi złotego ziarna. Szła z tym ziarnem nadzieja, nadzieja w głębi serc piastowana troskliwie przez całe lata...

* * *

Myszy pojawiły się nagle.

Było jakoś po pierwszych zbiorach — stertowali pszenicę, która nie mieściła się w stodołach, chociaż i niektóre klepiska zawalono snopami. Ludzie krążyli koło tych stogów napuszeni, gadali o kwintalach, o centnarach, o metrach.

I wtedy przyszły myszy. Jakby nie dość było plag wiszących nad tą ziemią, jakby zapomniono już o wodzie, trzcinach, trudach pierwszej orki i pierwszego siewu! Przyszły całymi tabunami, waliły z pól do budynków, do stodół, do świeżo zestawionych stert.

W bezsilnej wściekłości patrzyli ludzie, jak topnieje pierwszy plon, jak trud włożony w ziemię przecieka przez kiszki gryzoni. Nikogo nie ominęła ta nowa klęska, każdy był na poły współczesnym Popielem. Kobiety znów podnosiły larum, wyciągały stare racje i przebąkiwały o powrocie na „swoje". Florek uciął krótko:

— Uciekać przed myszami? Puknij się w głowę, kobieto!

Ale sprawa była poważna. Zwalczaniem czworonożnej plagi zajęli się specjaliści, mówiono, że profesorowie mają wytruć gryzonie, przyszła z pomocą chemia i chłopskie pospolite ruszenie. Metr po metrze spladrowano żuławskie pola, wysypano tony trucizny i myszy ustąpiły. I tym małym stworzonkom nie przepuścił chłop, kiedy chodziło o ziemię...

Zaraz po myszach wybrał się Florek do miasta. Furmanką w parę koni — po raz pierwszy w życiu powoził na targ własnymi. Kobieta co chwilę macała w zanadrzu zawiniątko z pieniędzmi, czuła pod materiałem chustki twardy papier banknotów. Jechali w milczeniu wśród równych jak stół, czarnych pól, szykowanych właśnie pod oziminy. Nie przywykli jeszcze do odległego horyzontu, do zagonów długich jak okiem sięgnąć, do nielicznych smutnych wierzb nad rowami.

— Tak sobie myślę, Floruś, że ma w sobie ta ziemia moc do rodzenia, ale piękna jej pan Bóg poskąpił...

Mruknął coś pod nosem, pożerał wzrokiem błyszczące skiby. Pod Nowym Dworem zaryzykował:

— Może tak i radio wziąć? Wiadomo by było, co na świecie, a elektryka będzie przecie lada dzień.

— Jak starczy, Floruś, jak starczy.

Dojechali w milczeniu, każde ze swymi myślami.

W sklepie z ubraniami — jeden był w całym mieście, a i do wybierania w nim niewiele — znajomy sprzedawca powitał ich uśmiechem:

— Myszy was ze szczętem nie zjadły?

— A jakoś...

Wybrali ubranie dla niego — ostatnie zleciało mu z grzbietu jeszcze na wiosnę, ciepłą chustkę, rozglądali się za paltem dla kobiety.

— Mizernie u was w tym sklepie, choć i myszy wam nie dokuczały — odciął się Florek.

— Poczekajcie, będzie i u nas towaru. Nie od razu Żuławy zbudowano!

Też się wybrał z morałem! Jemu to mówić, Florkowi...

W powiecie ruch. Jeszcze przyjeżdżali osadnicy, szukali czegoś dla siebie, przebierali, grymasili. Trzeba było trzy lata temu — mruczał Florek — jak ja. Wody skosztować, trzciny pociąć, rybami bebech napchać. Eee — machnął ręką — każdy ma, na co zarobił.

W starostwie powiedzieli, że ziemi może dobrać, uradzili więc szybko: wezmą cztery hektary, razem będzie piętnaście. Takiej ziemi wystarczy.

Zaszedł jeszcze do apteki. Za ladą twarz znajoma, zmarszczek tylko więcej. Taką twarz widział... I zaraz wyśpiewane pytanie:

— Panu szanownemu?

Aptekarz z kartofli! Ciekawe, co też zastał w tej opuszczonej poniemieckiej aptece.

— Coś na łamanie w kościach, jak się znajdzie. W kolanach okrutnie kręci.

Poznał i aptekarz. Kręcenie w kościach uznał za reumatyzm, radził iść do doktora. W aptece było niewiele, co przywiózł rozprzedał za dwa dni, ale teraz lekarstwa przychodzą regularnie.

— Nawet penicylinę ostatnio dostałem — pochwalił się małymi fiolkami. — A pan wtedy na gospodarstwo, jeśli pamięć nie zawodzi. I jak poszło, panie dobrodzieju?

— Jakoś tam. Ziemia trudna.

— A co tutaj łatwe? — zamyślił się aptekarz.

* * *

Zasypiał, kiedy cichutko wsunęła się pod pierzynę. Woreczek z uprażonym piaskem położyła na kolana, ręce wsunęła pod głowę, sen nie przychodził.

— Floruś, ziemia taka dobra, jako masło — może by z hektar rzepaku..?

— Można rzepaku, czego nie...

— A gdzie niżej, podle drogi, łąkę by podsiać. Krów na wiosnę dokupić. Ziemia przecie dobra...

— A dobra, dobra.

Spał już, kiedy pilnując gorącego piasku na obolałych kolanach, marzyła o stadzie dorodnych krów, o pełnej chlewni, ze strachem, jakby bojąc się świętokradztwa — myślała nawet o nowym domu.

Usypiając wśród tych marzeń, nie wiedziała jeszcze, jak dalece przerośnie je rzeczywistość.

Andrzej Malinowski

Parciane życie

Czesław Klepacki

ZALEDWIE głośnik wychrypiał swoje „autobus do Hrubieszowa odjeżdża ze stanowiska...", gdy stojący w pozornej obojętności tłumek sprężył się, zakołysał i zbił w ciasną gromadkę. Poszarzałe z niedospania twarze porannych podróżnych ożyły, gdy wreszcie w pękatym „Jelczu" trzeba było znaleźć, depcząc po nogach i tobołach, to własne, biletem wyznaczone miejsce...

Być może, długo nie zwróciłbym uwagi na siedzącą przy oknie kobietę, gdyby nie owe garnki zawinięte w parciany worek. Miały one niezliczoną ilość kantów, sęków i ostrych szpikulców najeżonych złośliwie w moją stronę. Próbując ustawić nogi możliwie bezkolizyjnie, zaczepiłem nogawką o wystający drut. Krótkie szarpnięcie i w spodniach pozostała dziura.

— Może by jednak ten worek gdzieś przełożyć? — powiedziałem, udając spokój.

— Przepraszam, bardzo przepraszam, tak tu ciasno, na półkę nie można, pan, zdaje się, zrobił sobie dziurę w nogawce, to nic, ja zaraz zaceruję, proszę, jeszcze człowiek nie zaczął jechać, a już taka bieda...

Mogła mieć lat czterdzieści albo i pięćdziesiąt pięć. Twarz osnuta gęstą siatką zmarszczek, spękane ręce i stulone, jakby przyciśnięte strachem ramiona. A jednak twarz ta miała w sobie jakiś charakterystyczny wyznacznik inności. Dopiero później, chyba gdzieś za Krasnymstawem, kiedy rozmowa nasza nabrała rozpędu, zrozumiałem, że z twarzy tej promieniuje ogromny ładunek wewnętrznego ciepła, życzliwości wobec wszystkiego i wszystkich, że tkwią w tej kobiecie niewyczerpane pokłady życiowego optymizmu.

— Bo ja — proszę pana — na swoje jadę, w Hrubieszowskie, mam tam dom i kawałek pola, com go jeszcze nie sprzedała, od jesieni nie byłam, strasznie się martwię, co tam zastanę. Dom niby zamknęłam na kłódkę, okna deskami zabiłam, sąsiad miał się opiekować, ale nie wie pan, jakie to są teraz ludzie? Włamie się w nocy, myśli, że skarby znajdzie, a ze złości wszystko poniszczy. Dach był trochę słaby, śniegi duże, może wody nalało? A puścić mnie z miasta wcale nie chcieli. Jeszcze tydzień, pani Katarzyno — powiadali — jeszcze parę dni, zdążycie ten swój czosnek i buraki posadzić, gdzie my taką gospodynię i opiekunkę znajdziemy... To ja widzę, że tym molestowaniom końca nie będzie, więc upatrzyłam sobie ten najwcześniejszy autobus zawczasu, wstałam raniutko, najpotrzebniejsze w gospodarstwie rzeczy wrzuciłam do worka, wyszłam, nawet nikt się nie obudził. Jeszcze mi się tam trochę grosza należy i pierzyna została, ale to nic, kiedyś odbiorę. Ja, proszę pana, do miasta niezwyczajna, jak słońce przygrzało, to mnie tak coś ponosiło, że robota z rąk leciała...

* * *

Zwykłe, swojskie i parciane było życie Katarzyny. Dni podobne do siebie jak paciorki drewnianego różańca, który pozostawiła jej matka. Zmarło się zresztą matce wcześnie, nawet do pięćdziesięciu nie dożyła, a że Kaśka była z pięciorga druga i miała już swoje siedemnaście lat, nie było na co czekać. Przysłał swaty chłopak z sąsiedniej wsi — z Zagród — obgadali wszystko z ojcem, dla porządku zapytali i ją o zdanie, zakładając z góry, że i tak zgodzić się musi, w dwa tygodnie byli już po zapowiedziach. Tak od serca mówiąc, bardzo się jej Janek podobał. Znać go dobrze nie znała, widywała jednak czasami na zabawach. Dziarski, wysoki, śpiewał jak prawdziwy artysta, a kiedy wziął dziewczynę do tańca, jak obwinął — w głowie wirowało, a w dołku robiło się miękko.

— Źle zaczęło się za okupacji. Nie tylko dlatego, że było ciężko, kontyngenty i łapanki, strzelaniny i śmierć. Kiedy się żyje w gromadzie, wśród swoich, każdą biedę lżej znieść, ludzie zawsze sobie poradzą. W naszej wsi było dużo partyzantki. Różnej. Mąż też niby należał, do jakich to ja nie wiedziałam, wtrącać mi się nie pozwalał.

— Dzieciaki masz, krowy i świnie też, garnków pilnuj i chałupy...

We wsi zaczęło się straszne picie. Niemcy za kontyngent kazali brać wódkę, a i bez tego w każdym domu bimber pędzili. Zajdzie, bywało, sąsiad konia do sprzężaju pożyczyć, pogadają o tym i owym, zaraz butelka na stole, kobiecie każą słoninę smażyć. Na jednej butelce się nie kończyło, wiadomo, że wtedy już roboty żadnej. Kiedy żona zacznie jazgotać, to ją zaraz zakrzyczą:

— Cicho bądź, głupia, na Niemców będę robił? Jeść masz co, gołym tyłkiem nie świecisz, to nie gadaj....

Janek — znaczy się mój mąż — zrazu z daleka się trzymał, jeszcze moje prośby i groźby skutkowały. A potem...

Potem zaczął przychodzić coraz później, w nocy, śmierdzący tą gorzałą, budził dzieci — miałam już wtedy drugie, Wanda była pierwsza, a za nią urodził się Antek... Którejś nocy przyszedł pijaniusieńki, dziecko rozbudzone zaczęło płakać, a on począł je bić. Panie drogi — bijał czasami mnie, zawsze po pijanemu, nic nie mówiłam, od dziecka byłam przyzwyczajona, ojciec też czasami matkę stłukł. Ale kiedy walił pięścią dziecko — nie wytrzymałam. Trzasnęłam go czymś, wypchałam na dwór i zasunęłam drzwi. Wrócił dopiero drugiej nocy — znów pijany. I tak było co noc. Dowiedziałam się później, co to było. Pod lasem, w gajówce, mieszkały dwie takie, jedna niby krawcowa, druga jakaś kształcona. Zawsze było tam pełno chłopów, pili i bawili się, bo gajowy grywał na harmonii, wiedziałam, że niektóre kobiety popłakują, bo ich chłopy latali do tych tam... Teraz dowiedziałam się, że i mój do tej krawcowej... Któregoś dnia pojechał z kontyngentem, ogarnęłam dzieciaki, poszłam na gajówkę. Pytam, która z nich krawcowa, ja z szyciem. Jedna — za przeproszeniem z cyckami prawie na wierzchu — mówi, że to ona. To ja jej powiadam, że nie o szycie mi chodzi, tylko żeby przybłęda rodziny mi nie rozbijała, dzieciakom ojca nie zabierała. Nagadałam jej tam różności, a gajowina mi pomogła, bo ona też miała dosyć tych panien. Zapowiedziałam tej krawcowej, że jak będzie mojego chłopa przyjmować, krzywdę jej zrobię na całe życie.

A potem zdarzyło się to najgorsze. Minęło może trzy dni. Szykowałam właśnie dzieciakom kolację, męża nie było przez cały dzień. Zmierzchało już, deszcz był i wichura na dworze. Wszedł do izby, karabin z pleców zdjął i mówi:

— Ubieraj się! — i lufą mnie popycha. Dzieciaki w krzyk, ja nic, wiem, że kiedy pijany, wszystko zrobić może, narzuciłam więc serdak i chustkę. I tak, pod karabinem, prowadzi mnie na gajówkę. A tam chyba z pięciu obcych jakichś, wszyscy pijani, wódka na stole. Woła z drugiej izby krawcową, a mnie każe klękać przed nią i przepraszać. Nie pamiętam, co było dalej, zobaczyłam przed sobą jej umalowaną twarz, śmiała się. Prasnęłam w tę twarz pięścią, ktoś mnie pchnął, uderzyłam głową o kant łóżka.

Ocknęłam się w domu, siedziała przy mnie gajowina i jeszcze jedna sąsiadka, dzieciaki beczały w łóżku. Pytam, co się ze mną stało, a one powiadają żem zemdlała, że tamci męża rozbroili i sprali, a krawcową i tą drugą gdzieś wywieźli.

Tak to było, panie... To już chyba Krasnystaw, może ja jednak te spodnie szybciutko panu załapię, nawet znaku nie będzie...

* * *

Dalsze dzieje małżeństwa Waszczuków można streścić krótko. Zanim przyszło wyzwolenie, wieś została niemal doszczętnie zniszczona. Jan jakby trochę oprzytomniał, mniej pił, pożar, który pozostawił ich właściwie nagich i bosych, wyzwolił znowu jego energię. Z niedopalonych desek sklecił szopę, w której gnieździli się pospołu z krową i dwoma prosiakami, jakimś cudem wykombinował od wojskowych konia, zabrał się za gospodarkę. Tak szło parę lat. Na pogorzelisku stał już dom i obora, przybyło trzecie dziecko, choje — każde na swój sposób — ze złością, uporem i zaciętością harowali, mało co odzywając się do siebie. Nocami Katarzyna dorabiała szyciem i nieraz świt zastawał ją nad maszyną. Żyli obcy dla siebie i dalecy. A były to czasy, kiedy po wsiach, nawet tych schowanych za lasami, jeździły wozy propagandowe, zwołując ludzi na pospolite ruszenie przemysłu, na wielkie budowy Świdnika, Nowej Huty, FSC. Co parę tygodni wypryskiwał ktoś ze wsi za las, do szosy, od czasu do czasu wracał, świecąc w oczy zegarkiem, nowym garniturem, błyszczącymi butami, niekiedy motocyklem. Któregoś dnia, kiedy kończyli kopać kartofle, Jan powiedział:

— Rzucamy to wszystko — przenosimy się do miasta. Inne tam życie, zarobić można, pieniądz sam idzie do ręki. Ty, oczywiście, na razie z dzieciami zostaniesz, zorganizuję jakiś kąt, zabiorę.

Katarzyna od dawna przygotowana była na taką rozmowę. Odpowiedziała też bez namysłu i spokojnie:

— Ty możesz sobie skakać, gdzie chcesz, ja ze wsi się nie ruszam i dzieciaków też nie pozwolę wziąć...

Nie wracali więcej do tych spraw. Za dwa tygodnie Jan wraz z kilkoma innymi, spisawszy się uprzednio dokumentnie, wyjechał. To, co szczególnie zwróciło uwagę Katarzyny, było dziwne. Dzieci — a Wandzie szło już na piętnasty rok — przyjęły ten fakt obojętnie. Dało to jej wiele do myślenia. Siedząc wieczorem nad maszyną, wsłuchując się w równy, spokojny oddech dzieci, wiedziała już, jaka jest jej droga. Twarde, ugruntowane zawziętością postanowienie zaczęła realizować z niezwykłym uporem. Zapisała Wandę do szkoły średniej, udało się ulokować ją w internacie. I od tej pory co niedzielę pakowała do powojennego plecaka słoninę, masło, zawijała w chusteczkę trochę papierkowych i szła do Zamościa — pieszo, aby zaoszczędzić na bilecie. Niosła opłatę za internat, byle Wandy z kwatery nie skreślono. Kiedy ludzie budzili się, ona była już w polu, przy robocie, kiedy zasypiali — zasiadała przy maszynie. Tak szły lata. Wanda była już na studiach, Michał w technikum, w domu pozostała tylko najmłodsza — Maryśka. Ale przyszedł czas, kiedy i ją Katarzyna pchnęła do szkoły średniej. Została wtedy zupełnie sama. Bo mąż zaglądał najpierw rzadko, a potem wcale. Tułał się gdzieś z budowy na budowę, miejsca nie mogąc zagrzać i ponoć — jak opowiadali sąsiedzi — pił coraz więcej.

Michał, ukończywszy technikum, poszedł do wojska. Wanda była już asystentką na uniwersytecie. I wtedy to odbyła się rodzinna narada. Decyzja zapadła. Któregoś dnia Katarzyna Waszczukowa ogłosiła sąsiadom, że sprzedaje ziemię. Z pęczkiem pieniędzy, jakich w życiu nie widziała, udała się do Lublina, do córki, aby wpłacić je do spółdzielni mieszkaniowej. Nocami śnił jej się domek z ogródkiem pod miastem, a potem Michał, że dźwiga okrutnie ciężki, wojskowy plecak. Więc rano natychmiast szykowała paczkę, biegła na pocztę, albo jechała do najmłodszej, do szkoły, bo właśnie trzeba było kupić sweterek.

Przyszedł wreszcie i ten jesienny dzień, kiedy Katarzyna zabiła deskami okna domu, oddała sąsiadom klucz od kłódki i wsiadła do autobusu.

— Trafiłam, nie mogę powiedzieć, do dobrych ludzi, źle tam mi nie było, tyle, że ja nerwowa, a i gospodyni też zdrowia nie miała. Myślałam, że szyciem trochę dorobię. Ale w mieście to nie to, co na wsi, zawsze jest przy czym chodzić. To pomyślałam sobie, że przez zimę posiedzę, na wiosnę znów wyskoczę do Zagród, czosnku i buraków posadzę na tym kawałku, com go jeszcze zostawiła, będzie trochę grosza, żeby na to mieszkanie resztę wpłacić.

Dokończenie na str. 10

Cierpkie owoce drzewa świadomości

Maria Bechczyc-Rudnicka

Agnieszka Osiecka „Apetyt na czereśnie" Bożena Mrowińska (Kobieta) i Zbigniew Sztejman (Mężczyzna)

Foto W. Parys

A WIĘC mamy już drugą pozycję teatralną Agnieszki Osieckiej o tytule rzec można pomologicznym. Nie tak dawno „Jabłonie...", teraz „Czereśnie". Owa „pomologia" w służbie metaforyki wzmaga niejako apetyt — na porównania. Pozwólmy tedy sobie po trosze go zaspokoić.

Otóż wydaje się, iż od roku 1965 czas pracował na Agnieszkę Osiecką. Z jednej strony rozluźniły się do cna kryteria budowy nowego dramatu, z drugiej — inwencja dramaturgiczna Osieckiej zdecydowanie zaczęła nabierać polotu. Jeśli bowiem widowisko słowno-muzyczne „Niech no tylko zakwitną jabłonie" było jeszcze po prostu montażem estradowym, złożonym z piosenek i wszelakich autentyków, jak komunikaty prasowe, wspomnienia, listy itp., to przecie w postaci „Apetytu na czereśnie" otrzymaliśmy już komedię z prawdziwego zdarzenia.

„Lekką" komedię o ciężkich sprawach.

Za oś, dokoła której ma się tutaj obracać akcja, wybrała autorka rozwód, dość dla dzisiejszych usposobień charakterystyczny.

Przyznam się, że „Czereśnie" te smakują mi więcej niż treści „Jabłoni". Nie lubię persyflażu pobłażającego tendencji społeczeństw do zwalania odpowiedzialności ze swoich barków...

Tym razem satyra Osieckiej, ujęta w sposób pozornie kameralny, jest w gruncie rzeczy bardziej dojmująca i gorzka.

To już nie „jakoś tam będzie", nie „kupą, młodzi przyjaciele!", tylko jesienny apetyt — na czerwiec. Pobrzmiewa tu wyraźne ostrzeżenie pod adresem podstawowej, jak to się mówi, „komórki" społecznej, którą jest rodzina.

Sprecyzujmy jednak, że satyra godzi na razie siłą faktu w rodzinę inteligencką.

Symbole Osieckiej są przejrzyste. Odczytanie ich nawet przy muzyce przyprawia raczej o smutek niż budzi wesołość. Osiecka przedstawia casus, w którym przyczyną rozkładu rodziny staje się apetyt na „różowy kapelusz", apetyt nękający Kobietę, żonę, matkę dwojga dzieci. To ONA (absolwentka politechniki!) wyglądała ustawicznie przez okno, „tęskniąc za życiem", bo dla niej nie ma życia w Nidzie, w jakimś Szczytnie, życie jest w „Boliwii z cyrkowcami", „w Peru z kaskaderem", w Warszawie „z wiceministrem". To z jej może powodu ON („inżynier-frajer"), zdecydowany na normalne życie, już nawet nie na „turbo-budowie" „wśród błot i bagien", piekli się, że nie ma jego osoby „w rozdzielniku", odgraża się, że będzie interweniował, choćby „Pstroński miał się przewrócić".

Oczywiście można by w „procesie wagonowym" prowadzonym przez Agnieszkę Osiecką dać od połowy wersję bardziej zdecydowanie przeciwstawną. W życiu zdarza się częściej, że Kobieta mieszka z Mężczyzną, który bynajmniej nie „modli się o jej miłość", raczej „korkociąg ma przy sobie noc i dzień" — ale to już temat do innej tragikomedii.

W popularnym widowisku słowno-muzycznym „Niech no tylko zakwitną jabłonie" tworzywo tekstowe oferowane przez autorkę było właściwie najzupełniej zdane na łaskę inscenizatora. Zbigniew Czeski wykorzystał wówczas szansę z dużym nakładem dowcipnych pomysłów. Reżyserując obecnie „Apetyt na czereśnie" Czeski musiał się już liczyć z kształtem scenicznym, który sugeruje Osiecka. Nie sparaliżowało to bynajmniej inwencji reżyserskiej. Przykładem pomyślnej kooperacji reżysera z autorem może być chociażby wyniesienie z przedziału na proscenium scenki „wczasowej", wzbogacenie jej niejako dobitniejszym rekwizytem (materac nadmuchiwany), lub też rozbudowanie wizualne epizodu u dziewczyny zawodowo lekkich obyczajów, wreszcie opracowanie reżyserskie obrazka pożycia małżeńskiego w Nidzie z zamarkowaniem pokoju i kuchni (to krążenie Kobiety między nimi).

Natomiast nie posłużyła dobrze spektaklowi jedynie modyfikacja zakończenia, albowiem ta „komedia muzyczna" i tak jest zbyt melancholijna, by pozbawiać ją w dodatku happy endu bodaj in spe. Wszakci wielki Molier nie gardził naciąganym happy endem ku pocieszeniu rodzaju ludzkiego, rangi zaś przez to nie stracił. Zresztą, sądzę, chodzi Agnieszce Osieckiej nie tylko o konstatacje, ale i o przestrogę, a cóż po przestrodze, gdyby nie istniała bodaj teoretyczna możliwość naprawy. Nie przywołujmy sami jesieni.

Kontynuując uwagi o autorskiej strukturze „Apetytu...", można z satysfakcją stwierdzić jej niemałą zręczność. Jest rzeczą jasną, że komedia nie stała się tu pretekstem do zaprodukowania dwudziestu (recte 21) piosenek. Piosenki, choć oczko w głowie u autorki, są podporządkowane konstrukcji dramaturgicznej z wzorową logiką i dyscypliną.

Skądinąd mógłby ktoś pomyśleć: „A gdyby tak — pure comedia, taka „demaskująca", bez piosenek, sam ten pyszny, dowcipny, celny dialog?" Otóż nie, moi drodzy, nie sposób. Zatraciłoby się wdzięczne spoidło i nawet rozbudowa dialogów nie poradziłaby z tymi migawkowymi retrospekcjami, które ze swej strony stanowią o nowoczesności stylu „Czereśni". Słowem dobrze jest jak jest.

A co o samych piosenkach?

Cóż, Osiecka jest znaną i uznaną mistrzynią od tekstów wokalnych. Nie znaczy to, że na tej łące Zoil usechłby z całkowitego braku pożywienia...

Był w dwudziestoleciu międzywojennym strasznie modny, dziś zapomniany u nas, powieściopisarz francuski Clément Vautel (nie plątać z kucharzem Wielkiego Kondeusza Vatelem!). Pozostała mi z jego powieści w pamięci pewna scenka u wydawcy, do którego zgłasza się autor piosenki z kilkakrotnie przerabianym na jego zlecenie tekstem. „Pas assez bête, mon ami, pas assez bête! Retouchez-moi ça, si vous voulez m'en croire. Encore plus bête, je vous en prie!" — rzecze ów wydawca. Przewidział niejako instynktem handlowca wybuch „epidemii złego gustu", której ogniskami staną się różnorakie giełdy piosenki.

Ale, jak to się mówi, żarty na bok. Jest w „Czereśniach" parę piosenek, ściślej mówiąc — parę fragmentów piosenek — trochę udziwnionych, trochę manierycznych (dla przykładu: „Czarny dwór"), a niekiedy noszących ślady śpiesznego rymowania (np. „Malwy po chatach" — niezależnie od tego, że tu się sugeruje tandetność usposobienia „bohaterki"). Na ogół jednak chapeau bas.

Grający w sztuce: Bożena Mrowińska (Kobieta) i Zbigniew Sztejman (Mężczyzna) dali co mieli najlepszego — umiejętności aktorskie. Reszta jest milczeniem.

Nie jednak. Trudno się wstrzymać od uwagi, że nawet teatr dramatyczny mógłby lepiej zabezpieczyć sztuce atrakcyjne wykonanie wokalne. Ono przecie przede wszystkim może wywoływać apetyt na „Czereśnie", pozwalając docenić muzykę Macieja Małeckiego i Adama Sławińskiego.

Scenografia Ewy Czuby-Wróblewskiej też budzi raczej niedosyt. Nosi jakby piętno marginesowości, „sposobu gospodarczego".

Andrzej Twerdochlib

Niejaki Ziomek

NA krótko przed godziną jedenastą Witold Ziomek odwiedził kawiarnię swojego stowarzyszenia twórczego na Krakowskim Przedmieściu. Można by powiedzieć, że Ziomek był literatem bez przydziału. Nie zaliczał się już do młodego pokolenia, a do średniego jeszcze się nie zaliczał. Powyższe fakty zarejestrujemy jednak jako ciekawostkę. Ziomkowi było bowiem wszystko jedno, gdzie nie przynależy już, a gdzie jeszcze. Miał po prostu na głowie większe zmartwienia.

Usiadł przy stoliku, zamówił kawę i zaczął dociekać. Nie było to puste dociekanie, wykonywane ot tak sobie, aby podociekać. Ziomek przechodził właśnie kryzys twórczy i w dociekaniach szukał gorączkowo Wielkiego Pomysłu. Wypił łyk kawy — była gorzka. Posłodził, pomieszał, wypił drugi łyk — była już słodka. „Za proste — pomyślał — Nie jest to pomysł, z którego cokolwiek można by zrobić".

Przy stoliku pod oknem dostrzegł Krzysztofa Zawadzkiego, krytyka, który podobnie jak on wisiał między pokoleniami i w związku z tym trwał w stanie nieustającej rozterki. Ujawniało się to na zewnątrz w prostackiej agresywności, drażliwości i nadmiernej pobudliwości na bodźce.

Ziomek był ciekawy, czy Zawadzki do niego podejdzie. Nie powinien właściwie podchodzić po tym, co napisał o ostatniej książce Witolda w piśmie bardziej społecznym niż kulturalnym. Tytuł recenzji: „1001 drobiazgów z tworzyw sztucznych" mógłby mówić sam za siebie, ale w rzeczywistości było jeszcze gorzej. „Zastanawiać musi motyw, dla jakiego autor próbuje nam wszczepić przekonanie, że żyjemy wszyscy w takim płaskim i głupawym światku. Czytającego ogarnąć musi przerażenie i zwyczajny ludzki wstyd. Dlaczego — pytam — uczucia te nie nawiedziły w porę recenzentów wydawnictwa, jego redaktorów, samego autora wreszcie? Przepraszam... Z powyższej listy autora wyłączam. Aby móc się wstydzić, trzeba mieć przynajmniej odrobinę przyzwoitości". „Żeby cię..." — myślał Ziomek o Zawadzkim, przypominając sobie równocześnie co celniejsze akapity omówienia. „W pewnej chwili oderwałem się od czytania i spojrzałem na stronę tytułową. Wydało mi się wprost niemożliwe, aby ta pozycja wydawnicza wyjść mogła spod pióra (!?) Witolda Ziomka. Nie dlatego, broń Boże, żebym go kiedykolwiek wysoko cenił. Nie. Nie ceniłem go nigdy i raczej nie będę. Książkę taką z powodzeniem mógłby napisać Pan Twardowski, o którym wiemy skądinąd, że poza Ziemią przebywa od dawna i że na Ziemi miał ciężkie przejścia. A to takiego przeżył W. Ziomek? Jaką miał biografię? O ile wiem, nigdy nie był nawet żonaty, nie mówiąc już o tym, że wojnę oglądał oczyma dziecka".

„Mój Boże... — myślał Ziomek. — Jakie to w końcu idiotyzmy! Powinienem z pogardą splunąć, a tymczasem się przejmuję".

Popatrzył w stronę Krzysztofa. Ten udał, że dopiero teraz spostrzegł swoją ofiarę. Wstał, zamachał ręką i wziąwszy ze stolika swoją kawę, zmierzał w stronę Witolda.

— Dzień dobry, Witoldzie — powiedział wylewnie. Był dyplomowanym polonistą i zwykł w prywatnych rozmowach nadużywać wolacza.

— Cześć, Krzysztof — powiedział Ziomek, który polonistą nie był i wolacza używał bardzo rzadko.

Zawadzki usiadł i natychmiast przybrał swoją zwykłą pozę. Lekko odchylony do tyłu, plecy przyciśnięte do oparcia krzesła, lewa ręka na blacie stolika, prawa zwisająca wzdłuż ciała, głowa wysoko. Kiedyś przed laty, zaprosili go do telewizji na dyskusję o młodej prozie, reżyser programu doradził mu, aby siedział właśnie tak, Krzysztof usłuchał i już mu to zostało.

— Co słychać?

— Po staremu.

— Recenzję ci napisałem. Czytałeś?

— Czytałem.

— No? Nie gniewasz się chyba?

— No wiesz! Służba nie drużba. Przecież musisz z czegoś żyć.

„Żeby się krew nagła na miejscu zalała — mówiąc te słowa myślał Ziomek z nienawiścią. — Żebyś do białej kości bydlaku oblazł. Żeby ci parszywy pies pośladki podgryzł zaraz jak stąd wyjdziesz. Człowiek się przez rok męczy, tysiąc kaw wypija, dziesięć tysięcy papierosów wypala, a taki przekartkuje książkę, wypoci dwie stroniczki, obluzga od stóp do głowy i jeszcze pieniądze weźmie".

— Nie myślisz chyba, że robię to dla pieniędzy — powiedział z godnością Krzysztof. — Głównie i przede wszystkim chodzi mi o przyszłość sztuki.

— Wzniosłe — osądził Ziomek.

— Ze bardzo szanuję literaturę, żeby ją uprawiać — powiedział Zawadzki, idąc w ślady wielu inteligentnych i bystrych krytyków literackich.

— Wzniosłe, bardzo wzniosłe — powtórzył Ziomek.

— Nad czym teraz pracujesz? — zmienił temat krytyk.

— Powieść. Polemika z „Za chlebem". Słyszałeś może o takiej noweli Sienkiewicza?

— Kontynuuj — warknął dyplomowany polonista.

— Dzieje się w Stanach Zjednoczonych w połowie dziewiętnastego wieku. Bohaterem jest młody polski chłop, wygnany z ojczyzny przez nędzę i prześladowania z borców. Bartek Gil się nazywa. Zapałkę dzielił na osiem części, potrawy solił raz w tygodniu i dwa razy w roku jadł mięso. Naganiacze, szyfkarty, morska podróż w opłakanych warunkach. W Stanach zostaje milionerem.

— W jaki sposób?

— Patentuje wynalazek. Naboje do kolta, które strzelają śrutem. Dla początkujących rewolwerowców.

— Naprawdę?

— Słowo honoru. Nawet celować nie trzeba, a przeciwnik jak rzeszoto. Dolary zaczęły mu do kabzy płynąć jak rzeka, swoją girlfriend, Jagusię spod Łańcuta, specjalnym statkiem sprowadził, długo żyli, szczęśliwie żyli...

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

— Jesteś bałwan! — oświadczył Zawadzki.

— Pluskwa jak rzadko wredna jesteś — powiedział z prostotą Witold, umyślnie kalecząc szyk zdania, aby tym bardziej dopiec dyplomowanemu poloniście. I znowu mierzyli się wzrokiem pełnym wzajemnej wściekłości. Pustej wściekłości, bo aby naprawdę wziąć się za łby — strony sporu winny posiadać określone postawy. Postaw takich nie było, ponieważ obaj nie należeli chwilowo do żadnych pokoleń, szkół ani grup literackich.

— No... Dajmy zresztą spokój — powiedział wreszcie Krzysztof. — Mówmy o czymś innym. Nie wiesz pewno, co się stało z Kazikiem Sową?

— Nie wiem. Już dawno zniknął z Warszawy.

— Przeniósł się na Wybrzeże. Marynistyka. Nauczył się sygnalizacji semaforem, chodzi na spotkania autorskie do marynarzy. Czyta im swoje utwory, machając chorągiewkami. Zupełny szał, ma dostać nagrodę państwową za zasługi na polu dobrze pojętej popularyzacji literatury w środowiskach leżących dotąd odłogiem.

— Czyżby?

— Słowo honoru.

— A tak naprawdę, to co z nim jest?

— Wypiął się na pisanie i został nauczycielem na prowincji.

— Mądrze zrobił.

— Tak. A ty co teraz naprawdę piszesz?

— Nic.

— Mądrze robisz.

Zanim ponownie zdążyli sobie naubliżać, przysiadł się do ich stolika młody pisarz, który specjalizował się w tematyce wiejskiej i korzystał ze stypendiów Ministerstwa Rolnictwa.

— Postawicie kawę? — zapytał.

— Ty nie powinieneś pić kawy tylko cieplutkie mleko prosto od krowy — powiedział Zawadzki.

— Albo bimber — dodał Ziomek.

— Postawicie? — powtórzył młody pisarz. Obaj równocześnie skinęli głowami.

— Miałem kłopot — powiedział nowo przybyły. — Napisałem powieść i kazali poprawić. Kazali więcej pola, bo było za mało pola.

— Jak to pola? — zapytał Witold.

— No, pola... Łany, miedze, oziminy, wierzby, rżyska, skiby, pędraki, owies. Takie tam...

— Dopisałeś?

— No. Scenę erotyczną.

— W zbożu — powiedział Krzysztof.

— Skąd wiesz?

— A niby gdzie ma być? Na wierzbie?

— Fakt — powiedział młody pisarz specjalizujący się w tematyce wiejskiej. — Ale z powodzeniem mogłoby też być pod miedzą.

— Miedza to już właściwie nie pole sensu stricto — teoretyzował Zawadzki.

— Zresztą pod miedzą siedzi zając — dodał Ziomek.

Młody pisarz z goryczą popatrzył na obu rozmówców.

— Wy sobie ze mnie kpicie — powiedział. — A co ja jestem winien, że mi kazali poprawić?

— Jesteś winien, bo było za mało pola.

— Stanowczo za mało — dodał Ziomek.

— To mogę sobie zamówić tę kawę?

— Możesz — powiedzieli obaj chórem.

Ziomek posiedział jeszcze chwilę z przyjaciółmi, potem bez celu włóczył się po mieście, do domu dotarł o trzeciej. Matka już czekała z obiadem. Usiedli naprzeciw siebie i zaczęli jeść zupę.

— Byłam przed południem u pani Gizeli — powiedziała matka. — Karty mi postawiła. Kogoś bliskiego czeka daleka droga.

Pokiwał głową z pobłażliwym uśmiechem.

— Ze też mamusie zawraca głowę takimi głupstwami.

Umilkła zawstydzona. „Daleka droga — myślał. — Może za granicę gdzieś wyślą? Na stypendium, albo z delegacją? Nie byłoby źle. A może jakiś rejs w ramach umowy Związku z Ministerstwem Żeglugi? Też by źle nie było. Dwie książki bym machnął. Powieść i zbiór reportaży. Poznałbym życie marynarskie, flagi kodu sygnałowego, portowe tawerny, chwiejbę na martwej fali, działanie żyrokompasu, alfabet semafo... Tfu!"

— Nie smakuje ci? — zaniepokoiła się matka.

— Nieee. Smakuje.

— Dziwny jesteś ostatnio, synku. Masz kłopoty?

— Trochę.

— Jakie? — przestraszyła się.

— Jak zawsze w tej mojej branży. Ryją pod człowiekiem. Świnie podkładają. Nie rozumieją. Zazdroszczą.

— Czego zazdroszczą?!! — jeszcze bardziej się przestraszyła.

— No... Bo ja wiem? Tak, ogólnie.

Matka westchnęła. Dostrzegł jej pełne troski spojrzenie i spróbował poprawić nastrój.

— Co tam jeszcze stało w kartach?

— Różne rzeczy — ożywiła się matka. — Dziewiątka karo koło mnie, znaczy: małe pieniądze.

— Renta mamy niedługo przyjdzie.

— Też tak pomyślałam. List dostaniemy nie bardzo wesoły, bo czarne karty koło asa karowego się ułożyły. I wojskowy jakiś chyba będzie.

— Wojskowy?

— Niekoniecznie. Ale ktoś w mundurze. Król treflowy...

— W mundurze — powiedział bezmyślnie. — A wesołego nic nie było?

— Nie — powiedziała matka.

— A jak zdrowie pani Gizeli?

— Dobrze się trzyma. Pytała o ciebie. Mówiła, że przeczytała twoją ostatnią książkę.

— I co? — zapytał Witold.

— Bardzo się jej podobała — wydusiła z siebie matka, która nigdy nie umiała przekonywająco kłamać.

— Pomysł to ja bym miał — zaczął mówić Ziomek, bardziej do siebie niż do matki. — Dobry pomysł, na grubą książkę i na wysoki nakład. Coś o polskich specjalistach, którzy wyjeżdżają za granicę i tam pracują. Budują, uczą, leczą i tak dalej... Wie mama, o czym myślę.

— To napisz.

— Ba! Musiałbym znaleźć kogoś, kto to robił i wrócił. Nikogo takiego nie znam. Albo samemu pojechać. Tylko że ja nie jestem specjalistą.

— Nie jesteś?

— A nie jestem.

W milczeniu kończyli obiad. Witold spojrzał na matkę i zauważył, że jest podniecona. Z całą pewnością intensywnie nad czymś myślała. Nagle odłożyła nóż i widelec.

— Witku! — powiedziała uroczyście. Będę coś dla ciebie miała. Nasz wikary był dwa lata w Afryce. Prowadził tam misję. Całe dwa lata!

— Kto? — zapytał Witold, nie wierząc własnym uszom.

— Wikary z naszej parafii. Razem do niego pójdziemy, ja go dobrze znam. Wstawię się za tobą, będziecie się spotykać, o wszystkim ci opowie i będziesz mógł napisać tę książkę.

— Jaką książkę? O czym mama mówi?

— No, o tych specjalistach! Mówiłeś przecież przed chwilą, że nikogo takiego nie znasz. A wikary był dwa lata i niedawno wrócił.

— Tak, tak — powiedział Witold. Patrzył na rozjaśnioną twarz matki i nie miał sumienia, żeby ją brutalnie rozczarować.

— Dziękuję mamie za ten pomysł — powiedział. — Pomyślę o tym. Na pewno pomyślę.

— Koniecznie. I pisz, synku... Pisz.

Wyszła do kuchni. Witold przeniósł się na fotel. Jego drugie „ja" zaczęło natychmiast monologować z odrazą:

„Niech sobie Ziomek nie myśli, że myśmy Ziomka nie przejrzeli na wylot i nie wiemy, jaki Ziomek jest. Ziomek jest leń śmierdzący, ot co! Ziomek by już wolał nie pisać, tylko żyć z adaptacji radiowych i telewizyjnych, ekranizacji, wznowień, przekładów i stypendiów. A Ziomek ma jeszcze na to czas. Co takiego dobrego Ziomek napisał, no co? Penetrował sumiennie jakieś prawdziwe środowiska? Nie penetrował. Wytycznymi polityki kulturalnej interesował się? Nie interesował się. Niech się więc wreszcie uderzy w tę chuderlawą, zapadniętą pierś! Tyle tematów na Ziomka czeka! Górnictwo, wojsko, harcerstwo, sprawy kobiet pracujących, młodzież zrzeszona, niezrzeszona, trudna... Co Ziomek o tym wszystkim wie? Pytamy Ziomka i byśmy woleli, żeby Ziomek szczerze odpowiedział. Takie ogrodnictwo na przykład. Jest jakieś francowate karłowate drzewko, co tylko kompotowe rodzi owoce, taka jabłonka-kundel. Rośnie sobie, soki z gleby wysysa, a tak na dobrą sprawę to po niej wszystkim g... Nic ciekawego, ale tylko pozornie. Bo jak przyjdzie fachowiec i umiejętnie zaszczepi, to taka jabłonka niebawem zacznie rodzić jabłka po piętnaście złotych za kilogram. Niech Ziomek coś takiego na warsztat weźmie, a nie wikarych. Jaka możliwość intelektualnej paraboli, jakie możliwości, jaki wachlarz zagadnień i problemów! Niech Ziomek nie siedzi jak głupi przed tym czternastocalowym telewizorem z przeceny. Ziomek nie jest konsument kultury! Ziomek jest twórca! No! Wstać! A jednak Ziomek siedzi nadal. Może jesteśmy zacofani i naiwni, ale byśmy Ziomkowi dobrze radzili: Niech Ziomek myśli częściej, myśli więcej, myśli intensywniej. Niech wreszcie przestanie dociekać i analizować Niech zwyczajnie myśli. Niech sobie nad biurkiem wywiesi tabliczkę z hasłem: „Nigdy nie będę żałował czasu na myślenie" — Dobrze?"

Drugie „ja" Witolda Ziomka zwykło było używać formy pluralis majestatis. Takie już było. Ale Ziomek mruknął tylko pod nosem: „e tam..." i wygodniej rozsiadł się w fotelu. Potem przyszła matka i też zajęła miejsce przed telewizorem. Siedzieli, siedzieli, aż było po Klossie.

— Ty byś czegoś takiego spróbował synku, jak się już uporasz z powieścią o wikarym — powiedziała. — Miałbyś sławę. I pieniędzy dużo byś miał.

— Nie dopcham się. Jak złapali, to trzymają w zębach. Nie zostaje mi nic innego, jak pisać ambitnie. A to śliskie, proszę mamy. Śliskie...

— Mógłbyś spróbować — powiedziała matka.

— Miałem kiedyś pomysł. Jak załatwić Klossa na amen. Opowiem mamie, bo mi się to wydaje niezłe. Kloss i pułkownik Von Grimm wieją na zachód z jakimś cholernie ważnym archiwum. Front niedaleko, postój na przygodnej kwaterze, pluton zwyrodniałych esesmanów w obstawie, pułkownik Von Grimm patrzy przez okno na cofające się wojska.

— Patrzymy na agonię wojny, panie kapitanie — mówi. Kloss oczywiście uśmiecha się znacząco. Rozumiemy, że niby mu ta agonia nie w smak, ale wiemy też, że dawno już wiedział, że szkopów szlag trafi i że jest mu to właśnie na rękę. Nagle sierżant wprowadza jakiegoś cywila, który się pętał w pobliżu miejsca postoju. Pułkownik mówi: „Hans, proszę go przesłuchać" i wychodzi.

Kloss przesłuchuje, tamten mówi hasło. Okazuje się, że to emisariusz specjalnie do Klossa, żeby się pośpieszył z tym ważnym archiwum. Kloss mówi po głębszym namyśle: „Zrobię co się da, a ty wiej i zamelduj, że wszystko idzie zgodnie z planem GX-7283/VIII-20-44". Na to wchodzi pułkownik Von Grimm, wie mama, z tych Grimmów, ale widzowie nie wiedzą: słyszał, czy nie słyszał?

Mówi pułkownik:

„Hans, weź sierżanta-zwyrodnialca i niezwłocznie udajcie się z zatrzymanym do pobliskiego przyfrontowego lasu. Zatrzymanego rozwalcie, bo on mi wygląda nad wyraz podejrzanie".

„Rozkaz, Herr Oberst!"

Kloss wychodzi z sierżantem i skazańcem, który nie boi się nic a nic, bo wiadomo przecież, że swój swojemu oka nie wykole. Wracają po pewnym czasie, pułkownik dziwi się ogromnie i wygląda tak, jakby nie wierzył własnym oczom. Każe sierżantowi wyjść, zwraca się do Klossa:

— Wykonał pan rozkaz, Hans?

— Jawohl, Herr Oberst.

— Rozwalony?

— Według rozkazu pana pułkownika.

— A kto go...? tego...?

— Osobiście ja, Herr Oberst.

— Sierżancie!

Wchodzi sierżant, stuka kopytami i w swojego przełożonego patrzy jak w tęczę.

— Przypomnijcie sobie dobrze, sierżancie, i odpowiedzcie mi na jedno jedyne pytanie: kto rozwalił podejrzanego?

— Rozkaz, Herr Oberst! Już sobie przypomniałem... Tak jest! Kapitan Kloss był łaskaw zastrzelić tamtego, ja poprawiłem.

— Coś jeszcze chcecie dodać, sierżancie?

— Jawohl, Herr Oberst! Chcę dodać, że poprawiłem niepotrzebnie, bo kapitan Kloss zrobił to jak należy.

— Wyjdźcie.

— Jawohl, Herr Oberst!

Wychodzi. Pułkownik zwraca się do Klossa. Mówi cicho, ze zgrozą, której nikt by się nie spodziewał u tego zawodowego, żelaznego oficera, który już w czasie pierwszej wojny światowej był kapitanem i kawalerem żelaznego krzyża.

— Pan go zabił, Kloss — mówi pułkownik Von Grimm głucho. — Pan go naprawdę zabił... A ja słyszałem, jak pan z nim rozmawiał. To był wasz człowiek, ja — widzi pan — od dawna podejrzewałem, że pan pracuje dla nich, dziś nabrałem pewność. Ale dałem panu szansę, bo pana lubię, a wojnę już tak czy owak przegraliśmy. Mógł pan uciec razem z tamtym, byłem pewien, że pan tak zrobi i przy okazji ukatrupi jeszcze tego zwyrodnialca-sierżanta. A pan zabił swojego człowieka i wrócił. Dlaczego pan to zrobił?

— Muszę mieć to archiwum, bo ono jest cholernie ważne.

— Oj, oj, Kloss!

— Panie pułkowniku, sam pan mówił, że przegraliście wojnę, no nie? Niech pan wyda to, o co mi chodzi. Gwarantuję panu dobre traktowanie i krótki pobyt w niewoli.

— Nie, Kloss. Nic z tego. Niemcy przegrały wojnę, ale ja jestem zawodowym oficerem, który w tysiąc dziewięćset siedemnastym roku był kapitanem i kawalerem rycerskiego krzyża.

— Rycerskiego? — usiłuje opóźnić akcję odcinka Kloss. — Nie żelaznego?

— Żelaznego swoją drogą. Ale rycerskiego też.

— Czyżby? — Kloss jeszcze opóźnia, ale już mu oczka zaczynają latać w prawo — w lewo, w prawo — w lewo... Pułkownik orientuje się w tej grze, łapie za spluwę i już ma Klossa na muszce.

— Nie ruszać się! Rączki, rączki!

Kloss podnosi ręce do góry, co każdy by zrobił na jego miejscu w takiej sytuacji. A oczka znowu nie przestają mu lekko latać. W prawo — w lewo, w prawo — w lewo...

— Panie pułkowniku — mówi z godnością. — Niech się pan zastanowi.

— Sierżancie!

— Wchodzi sierżant-zwyrodnialec.

— Wyprowadźcie pana kapitana za stodołę i strzelcie mu w potylicę dwa lub trzy razy. Jaki macie kaliber?

— 7,62, Herr Oberst.

— To wystarczy dwa razy. O wykonaniu meldować głosem!

— Rozkaz!

Wychodzą.

— I co dalej? I co dalej? — zapytała matka z wypiekami na twarzy.

— Pif-paf. Koniec. Muzyka. Napisy.

— Jezsss Maria! Witoldzie!

— Ja naprawdę muszę ambitnie, mamo — powiedział Ziomek, ale przez cały czas myślał o czymś innym.

(Fragment powieści „Czterej w lesie")

Kamena str. 9

okolice sztuki

Oni są z armatą

JEST to jedyna w świecie wystawa, a więc wystawa największa. O udział w niej ubiegają się najwybitniejsi twórcy z wszystkich niemal kontynentów, w tym roku nawet Salvador Dali nadesłał swoją pracę „Dada. Surrealism and their heritage". Otrzymanie nagrody czy wyróżnienia na Międzynarodowym Biennale Plakatu w Warszawie nobilituje szczęśliwca w oczach miłośników plastyki współczesnej i profesjonalistów. Zrozumiałe, że taka impreza musi mieć odpowiednią oprawę. I ma. Otwarcie kolejnej wystawy staje się spotkaniem stołecznego towarzystwa, haftowanym obecnością co głośniejszych profesorów od sztuki pięknej i powielanej.

Aż tu nagle, w czerwcu bieżącego roku, w kilkanaście minut po uroczystym otwarciu III Biennale, na salę „Zachęty" wbiega Tomasz Kawiak w białej nocnej koszuli do kostek, w dłoniach dzierży papierową torbę z własnym autografem, z której, holendrując po sali, wyciąga strzępy konfekcji męskiej, podobno też własnej, rozrzuca owe szmatki „po wsiech" i coś tam głośno deklamuje, budząc ogólne osłupienie, a radość nielicznych, można podejrzewać, że przekupionych przez niejakiego Hopfera.

W momencie, kiedy pierwsze wrażenie niebezpiecznie gaśnie, co grozi albo włączeniem, albo zdecydowanym wyłączeniem Kawiaka z normalnej ceremonii, nadciągają posiłki w liczbie dwóch, ubranych w stroje napoleońskie, co ma podwójne znaczenie: narodowo-historyczne i internacjonalne.

Posiłki okazują się zbrojne i bezpardonowe. Oni są z armatą na kółkach! Szybko rychtują zabytkową broń, ładują w lufę co trzeba, pada komenda i huk strzału kładzie pokotem wyobrażenia o powadze sytuacji. Drugi strzał i trzeci wybijają dziury w świadomości zebranych, przez które powoli wsącza się zwątpienie, rodzące między innymi pytanie, w jakich warunkach dzieje się sztuka... Na koniec intruzi zapraszają publiczność na „Antybiennale" w „Galerii Współczesnej" Boguckich. Część daje posłuch i opuszcza „Zachętę".

Rzecz całą można by uznać za dowcip, lub — w zależności od poczucia humoru — za niepotrzebny wygłup, mącący atmosferę pożytecznej imprezy, dobrze świadczącej o jakości i dynamice polskich inicjatyw plastycznych. Ale byłoby to widzenie powierzchowne: demonstracja młodych artystów warszawskich nie miała na celu ani draki, ani mącenia, ani też nie była wymierzona w sens samego Biennale, choć taki komentarz łacno przy tej okazji spreparować. Mieliśmy do czynienia ze zjawiskiem o źródłach głębszych, o uwarunkowaniach ogólniejszych. Krótko mówiąc, było to uderzenie w postępującą konwencjonalizację życia artystycznego, prowadzącą do zastępowania faktycznych kryteriów ocen artystycznych miernikami statystycznymi, liczbą wielkich wystaw i ich uczestników, do ograniczania spontaniczności działań artystycznych bon-tonem i oficjalnym dekalogiem, układanym na domiar wszystkiego także przy udziale związku plastyków. Wybór Międzynarodowego Biennale podyktowała zapewne akustyka społeczna tego miejsca.

A w „Galerii Współczesnej" spotkać można było rzeczy różne (m. in. metalowy śmietnik, materac), mniej lub bardziej dowcipnie przysposobione, czasami tandetne w zamyśle, czasami wstrząsające i bez „humorku"; wiele leżało na podłodze, jakoś pospolicie, niechlujnie. Całości patronował dadaizm i jego współczesne potomstwo ideowe, co nie jest bez znaczenia, jeśli przypomnimy sobie historyczne uwarunkowania narodzin tego nurtu, odradzającego się dziś w sposób zaskakująco dynamiczny i szeroki. Na honorowym miejscu stała armatka, która tyle huku narobiła w czcigodnej „Zachęcie".

Nie było na wystawie rzeczy „ładnych", zresztą wszelkie terminy z zakresu obiegowej estetyki nie mogły stanowić klucza do przedstawionych eksponatów. Zarówno „Gest Tomasza Kawiaka" czyli kilkumetrowej długości papierowa torba z ujawnioną tylko napisami zawartością, jak i „Przedmioty do Widzenia i Słyszenia" Szabolcsa Esztenyi, Elżbiety Góral i Krzysztofa Wodiczko oraz szokujący walec z manekinem mężczyzny w środku („On jest") Andrzeja Dłużniewskiego, a także niezwykły, złożony z fotografii i luster labirynt Michała Boguckiego i Jacka Laskusa — czyli to wszystko, co zmuszało na wystawie do uważnego spojrzenia, odwoływało się do odbiorczej wyobraźni, uruchamiało ją i sterowało w różnych kierunkach, krzyżujących czystą zabawę z wątkami ogólnoludzkich uniwersaliów.

Na wystawie znalazł się także plakat „Antybiennale": błękitno-fioletowy, niczym nie zadrukowany prostokąt. Tabula rasa? Wszystko od nowa? No cóż, każda generacja wstępowała w przekonaniu, że tylko ona posiada receptę na prawdę artystyczną, że od niej zależy przyszłość sztuki. Ci młodzi dokumentują swoją wiarę z taką otwartością i zdecydowaniem, wspierają ją faktami nierzadko tak sugestywnymi, że ma się jednak ochotę im zaufać. Bez względu na cały krzyk wokół sprawy, który czynią. Zresztą atakujący zawsze krzyczą.

Dla kronikarskiej ścisłości trzeba jeszcze dodać, że nie wszyscy ich rówieśnicy popierają takie działania. Oto „Przemysław Kwiek i Jan Wojciechowski nie chcąc dokładać eksponatów do gabinetu osobliwości, dla których bezpiecznym azylem jest galeria, postanowili przepracować fizycznie cztery dni, a zarobione w ten sposób pieniądze przeznaczyć dla dzieci niewidomych w Laskach pod Warszawą", co ogłosili za pośrednictwem kartki maszynopisu, przypiętej na drzwiach „Galerii Współczesnej".

Raduje się laicka dusza: nareszcie artyści biorą się za łby z powodu sztuki!

I J K

POSTE RESTANTE

Nazwa naszej rubryki Poste Restante ma znaczenie dosłowne: poczta zostająca, czyli te nadesłane do redakcji utwory, których — z prawdziwym żalem — nie mogliśmy zamieścić w numerze, ale które — z prawdziwą satysfakcją — wybraliśmy do publikacji w tej rubryce. Przypominamy, że w Poste Restante nie płacimy honorarium.

Początek wakacji, środek wakacji, koniec wakacji — tak czy owak uwagi zawarte w liście p. W. G. z Nowin mogą się okazać aktualne:

Szanowna Redakcjo! Bardzo popularne i na pewno potrzebne są teraz różne zjazdy i spotkania towarzyskie (np. absolwentów szkoły). Jednakże jaka koleżeńska atmosfera panuje na niejednym takim zjeździe i jaki brak kultury, podam to na własnej obserwacji i przeżyciu:

Z radością jedzie Jacek na zjazd absolwentów
Spotkam się z kolegami, ileś ich pamiętam
To wszyscy — powiada — starzy przyjaciele,
Którym w nauce pomagałem wiele.
Ze zjazdu powrócił markotny, zmartwiony.
Usiadł ciężko na ławie i mówi do żony:
Jurek, co żem mu w szkole na lekcjach pomagał,
Nawet na mnie nie spojrzy. Urzędnik. Pomaga.
Pracuje w ministerstwie. Magister-inżynier.
Nic mu teraz po takim koledze-chłopinie.
Za żonę dyrektora ma pono dziewczynę,
Willę wybudowaną, własną limuzynę.
Od wielu znajomych na zjeździe uciekał.
Co to kariera zrobiła z człowieka!
Pomoc — mówi żona — twoja w las nie poszła,
Że do ministerstwa zawiodła aż osła.
Zaś kariery — dodaje — droga bardzo śliska,
Nawet tym, co wysokie mają stanowiska.
Potykają się także... — pamiętaj, mój drogi —
Wtedy sobie przypomni, skąd wyrosły mu nogi.

Tak jest, tak jest! Trzeba bardzo zważać na tego rodzaju problemy, że zróżnicowań socjalnych wynikające, o czym usiłuje nas przekonać także p. K. P. z Borkowa Starego:

CHMURY ROZPACZY

Ty jesteś ciot, głupek,
chłopski filozof,
chłopek-roztropek.
Nawet najgorszy łajdak z ulicy
cię wykrzyczy, zwymyśla.
W szkole będziesz kozłem ofiarnym,
bo z wiochy dojeżdżasz,
bo ci rośnie w polu.
Zniszczą cię za to, że
ojciec twój robi w pegeerze,
„wozi byki na rowerze".
W pracy za grosz inaczej.
Nikt cię nie zrozumie,
bo nie chce.
Gdyby chciał, mógłby umieć.

Gdy przetaczał się front

Dokończenie ze str. 1

wały tuż nad ziemią, a następnie z rykiem unosiły się w górę. Widać było wyraźnie lokalizację ich ataku. Pierwszy lęk minął. Chłopi zaczęli liczyć samoloty. Było ich osiemnaście. Gdy liczenie sprzykrzyło się, gospodarze zaczęli zbliżać się do zabudowań, a samoloty po prawie półgodzinnym ostrzeliwaniu i bombardowaniu odleciały na północ. Jaś Stefaniak dostarczył nowej strawy dla politycznej i militarnej ciekawości gromady. Był on w pobliskim folwarku tuż przy trasie posuwania się wojsk radzieckich i oglądał nalot. Z jego opowieści wynikało, że oddziały radzieckie nie przerwały marszu z powodu nalotu. Odbywał się on w nie zmienionym porządku i tempie pod ogniem naurkowców. Żołnierze, biwakujący już na folwarku, nie okazywali niepokoju. Ten i ów machał ręką i mówił:

— Eto nie na nas.

Taka postawa imponowała nowostawiakom, zwłaszcza co tchórzliwszym. Sceptycy podejrzewali Stefaniaka o przesadę pod wpływem oszołomienia, jakiemu mógł ulec na widok mnóstwa krasnoarmiejców.

Po opowieści Stefaniaka przyszła kolej na rozważania strategiczne, bardzo żywe, bo praktycy od kosy i pługa wygłaszali sporo indywidualnych teorii natury ogólnej i wysuwali plany doraźnych rozstrzygnięć. Szkoda, że w tej odprawie nie uczestniczyli aliańcy dowódcy frontów wschodnich, zachodnich i południowych, bo dopiero potem trzeszczałyby Niemcom kości. Bez udziału tych głównych rzemieślników miecza nowostawska rada wojenna nie wywarła wpływu na bieg wydarzeń, pozostawiła po sobie jedynie trochę niedokończonych refleksji, których nawet żaden kronikarz nie notował.

Rozmówcy podzielili się na dwie przeciwne orientacje: optymistów i pesymistów. Gdy któryś optymista wróżył rychłe o pomyślne zakończenie wojny, a drugi chciał rozproszyć obawy co płochliwszych znajomków, wnet odzywali się pesymiści, nie tyle z przekonania, ile z przekory i chęci zadokumentowania, że też mają coś do powiedzenia. Ci zaczęli głośno upierać się, że na wojnie bywa różnie. Niemcy mogą przejść do przeciwnatarcia, a wtedy... Mówca zawieszał głos, bo nie wiedział, co będzie wtedy, ale naiwni słuchacze domyślali się w jego milczeniu tajemniczej i groźnej wiedzy o przyszłości. Oczywiście Goździowa pierwsza nie taiła, że widzi świat w kolorach czarnych jak cholewy jej butów. Drugi pesymista nie omieszkał dodać, że wtedy Niemcy nic nie zrobią uzbrojonym po zęby Rosjanom, ale oni chętniej, jak wiadomo, wojują z ludnością cywilną. Trzeci pesymista zauważył, że może Niemcy — mimo strachu, jaki niechybnie mają — zechcą odbić oblężonych w Lublinie kamratów. Ktoś zaripostował, że to da taki skutek, jakby chcieć wyrwać psu kiełbasę z gardła. Rozmówcy zaczynali zacietrzewiać się i coraz trudniej przedzierali się przez zasieki sprzecznych opinii.

Oprócz chmury bitewnej nad Lublinem, podnosiła się nad zachodnim widnokręgiem ciemna ściana deszczu: sygnał do schowania pod dach rzeczy wyniesionych niedawno do „schronów". Było to trochę tak jak w wojsku. Kiedy trzeba kopać umocnienia, solidni żołnierze napracują się tęgo, a tymczasem laziki — a tacy znajdą się w każdej kompanii — obijają się tylko i markują robotę, z której przeważnie nikt nie korzysta, bo zanim okopy zostaną ukończone, kompania otrzymuje rozkaz albo pościgu za cofającym się nieprzyjacielem, albo zajęcia nowych stanowisk do obrony przed nieprzyjacielem nacierającym. Wyłącznym pożytkiem jest zmęczenie i kpiny cwaniaków, którym lekko było brać nogi za pas naprzód lub — co wymaga większej zwinności — do tyłu. W Nowym Stawie znalazło się również kilku chłopów rozważniejszych lub może tylko o silniejszych nerwach. Ci nie zasugerowali się saperskimi zapędami plochajłów i nie kopali „schronów", bo uważali, że ich wieś i okolica nie jest aż takim punktem, o który Niemcy będą chcieli, jeżeli w ogóle nie stracą ochoty, bić się za wszelką cenę. Ci mieli teraz wolny czas do pogwarek. Zaczęły się opowiadania, wspomnienia, zapytania i anegdoty z gmatwaniną realiów i motywów fantastycznych. Jakiś starszy chłop, uczestnik wojny japońskiej, wystąpił ze stwierdzeniem, że Niemcy tę wojnę przegrają. Jak pamięć ludzka sięga — dowodził — zawsze tak było, że kto zastał pobity w ich okolicy, koło Lublina lub Lubartowa, musiał wojnę przegrać.

Gawędzili tylko starsi chłopi. Młodzież zawieruszyła się niepostrzeżenie. Znikli obaj Ratułowie. Nie było Trznala. Zapodział się starszy nieco Jaś Stefaniak i kilku jego bliższych towarzyszy. W ogólnym zamieszaniu nikt nie dojrzał ich nieobecności, a jeśli nawet spostrzegł, nic nie mówił. Chłopi nauczyli się podczas wojny szczególnej dyskrecji. Musieli taić i taili pewne sprawy przed wiedzą ludzi nie dopuszczonych do tajemnicy. W Nowym Stawie, podobnie jak w innych wsiach, postronny przybysz mógł znajdować się przez tygodnie, miesiące i lata, dostawał, czego szukał, do jedzenia, czytał wiele ulotnych, pisek i dyktoryjek, ale do serca wsi nie dotarł. Pan Chmielewski doświadczył tego przeżycia. Już pięć lat uczył tutejszą dzieciarnię, przegadał sporo wieczorów z rodzicami, ale jak był, tak pozostał dla nich osobą obcą. Wioseczka była po trosze lożą masońską z kilku kręgami wtajemniczenia. Starsi gospodarze orali i starali się uchronić dobytek przed rekwizycjami. Młodzi pomagali im gospodarzyć, a wieczorami spotykali się by omawiać swoje sprawy młodzieżowe. Nie wszystka młodzież ze wsi uczestniczyła w tych wieczorynkach. Udział był dopuszczalny według rygorystycznego doboru.

Nie można powiedzieć, że „takie były zabawy, spory w one lata wśród cichej wsi..., kiedy reszta świata we łzach i krwi tonęła". Poza trzynastozgłoskowym pięknem parafraza była w stosunku do wsi polskiej niesłuszna. Właśnie reszta świata mogła uchodzić za sielankę, gdy w polskich wsiach płynęła krew wieloletnim strumieniem. Podczas wojny nie wszyscy walczą, ale wszyscy ponoszą skutki wojny. Nowy Staw, podobnie jak inne wsie, był bezbronnym poligonem, na którym kto chciał, uczył się wojny. W dzień zajeżdżali Niemcy, w inny dzień lub nocą zaglądali partyzanci, których trzeba było ogrzać i pożywić. Kiedy nie było ani bliskich sercu chłopców z lasu, ani znienawidzonych „szkopów", wieś niby miała spokój, ale noce zakłócali od czasu do czasu rabusie, jeśli zwęszyli, że mogą akurat bezkarnie buszować.

W sobotę, 22 lipca 1944, wojna biła swym młotem dookoła Nowego Stawu i mogła lada moment go zmiażdżyć, ale każde serce czuło, że były to jej ostatnie zamachy w tych stronach. Razem ze zmierzchem weszła do wsi piechota radziecka, która przeczesywała teren. Zwycięzcy nie wyglądali imponująco. Zziajani do granic wytrzymałości ludzie, którym pot spływał nie tylko z twarzy, ale nawet z każdego słowa, budzili współczucie chłopów, znających ciężar fizycznego zmęczenia.

Jeden z szeregowców poprosił o wodę. Goździowa, która miała najbliżej do domu, przyniosła spory garnek mleka i podała żołnierzowi. Ten spojrzał ze zdziwieniem i rzekł do stojącego obok towarzysza:

— Posmotri! Mużyki, a mołoko u nich połuczisz. Udiwitelno.

Goździowa zapytała drugiego krasnoarmiejca, czy także nie napiłby się mleka. Zapytany podziękował i następnie zwrócił się szeptem do Goździa. Chłop pomyślał chwilkę, dał nurka do komory i wrócił stamtąd z butelką, którą wręczył żołnierzowi. Ten wyciągnął jakieś pieniądze z kieszeni, ale Góźdź delikatnie odsunął jego dłoń i wytłumaczył, że gdyby przyjął zapłatę od żołnierza, zgrzeszyłby i zniesławił się przed całą wsi, a może i okolicą. Żołnierz zamyślił się głęboko. Widać było, że uparcie szuka czegoś w pamięci. Wreszcie zawołał z rozjaśnioną twarzą:

— Dzjenkuje, panie!

Po chwili zaś, prawdopodobnie chcąc zrewanżować się miłym upominkiem, powiedział — tym razem po rosyjsku, bo na polszczyznę tekst był dla niego za długi — że oto razem z nimi, krasnoarmiejcami, idzie Wojsko Polskie i cała Polska rychło będzie wolna. Wiadomość wyrzucił z siebie z takim pośpiechem, jakby czekał od dawna na sposobność, aż spotka człowieka godnego tej wiadomości.

Gdy żołnierze rozmawiali z chłopami, dwie kobiety, również w żołnierskich mundurach, zawinęły się koło studni, wyciągnęły kilka wiader wody, wlały ją do stojącego obok koryta, zdjęły mundury i koszule i zaczęły się myć. Zanim oddziałek ruszył do dalszego pochodu, one już się ubrały i poprawiły włosy pod furażerkami.

Wnet wojsko, jak nagle przybyło ze wschodu, tak nagle znikło na zachodzie. Jedynie obie dziewczyny machnęły rękami na do widzenia. We wsi nastała cisza. Droga i majdanek wiejski opustoszały. Mieszkańcy przygotowywali się do zasłużonego odpoczynku po pięciu latach czuwania.

Wiktor Bazylewski

Parciane życie

Dokończenie ze str. 8

A nie powiedziałam panu jeszcze o tym, że kiedy byłam w mieście, przyjechał któregoś dnia ten mój niby mąż i powiada, że on też dosyć ma tego obtłukiwania się między ludźmi, że gdybym zgodziła się, sprzedałby też swoją część, można by wykupić cały bliźniak, nie dla nas przecie, tylko dla dzieci...

To, mówię panu, po tej rozmowie przez parę nocy nie spałam. Nie mam do niego żalu za krzywdy, które mi wyrządził, nie to. Ja dzieci wychowałam na porządnych ludzi. One ojca prawie nie znają, ale wiem, że gdyby rzeczywiście wrócił i żeby był — bardzo by się z tego ucieszyły. A i mieszkania — co dwa, to nie jedno, można by tak na starość obok siebie pod jednym dachem... I tak się tłukę z tymi myślami, nie wiem, co zrobić. A najbardziej to nie wiem, jaki on teraz jest naprawdę, pić przestał, ale czy znów nie zacznie?

Autobus wjeżdżał już w rogatki miasta. Ludzie pośpiesznie zbierali z półek swoje tobołki, przepychali się do wyjścia. Katarzyna zagarnęła swój brzęczący garnkami worek. Uśmiechając się serdecznie, ciepłym uśmiechem matki, powiedziała:

— Ja tu panu nagadałam tyle różności, a pan ma dziurę w rogawce... To jeszcze i to powiem, że ja się właściwie już zdecydowałam, że spróbuję, żeby było razem... W życiu biedy się nie pamięta, kiedy ma się dla kogo żyć...

I taka promienna, prawie wesoła, poszła z garnkami do drugiego autobusu, aby dojechać do swoich Zagród...

Czesław Klepacki

Książki nadesłane

WYDAWNICTWO ŁÓDZKIE

1970

Proza

Bohdan Arct, Powietrze pełne śmiechu. Zabawne zdarzenia z życia lotników. Zebrane przez autora z licznych książek, a także przezeń przeżyte. Cena — 10 zł.

Henryk Czarnecki. Godzina deszczu. Zbiór krótkich lirycznych tekstów o refleksyjnym, często ironicznym zabarwieniu. Cena — 11 zł.

Eugeniusz Iwanicki, Powódź w dolinie psów. „Moją pasją jest penetracja cudzych postaw moralnych, które są ciągle jeszcze nie zbadaną dżunglą wyrosłą na gruncie naszej cywilizacji" — stwierdza autor tego zbioru opowiadań. Cena — 10 zł.

Gabriel Karski. W przymglonym lustrze. Opowieści i relacje o charakterze wspomnieniowym, sięgające czasów przedwojennych, mówiące też o pisarzach, których autor znał osobiście. Cena — 11 zł.

Bernard Sztajnert, Bez strachu. Zbiór felietonów. Cena — 7 zł.

Jerzy Waleńczyk. Źdźbło trawy i gwiazda. Opowiadania współczesne. Cena — 11 zł.

Józef Henryk Wiśniewski. Zdaje się, że Franek wyszedł. Opowiadania współczesne. Cena — 12 zł.

Poezja

Jerzy Wilmański. Odlot. Kolejny tomik wierszy młodego łódzkiego poety i dziennikarza. Cena 6 zł.

Wpierw czerwień zakwita. Tomik wierszy młodych poetów, wydany staraniem KKMP „Wiadukt" przy Zarządzie Wojewódzkim ZMS w Łodzi. Cena — 7 zł.

moje LEKTURY

Lato w poezji Grochowiaka

RODOWODY poetyckie Stanisława Grochowiaka zostały już dawno wyprowadzone, a dokonali tego liczni krytycy od Kazimierza Wyki do Jerzego Kwiatkowskiego. W nowym tomie „Nie było lata" Grochowiak służy w tej sprawie dalszymi argumentami. Zostawmy je jednak przyszłym wpływologom i tropicielom ech. Dotychczasowe ustalenia, zwłaszcza w „Kluczach do wyobraźni", należy oczywiście mieć w pamięci, okazują one przy lekturze Grochowiaka swoją użyteczność, ale nie można ograniczyć się do odczytywania jego liryki poprzez różnorakie tradycje, do jakich ona nawiązuje. W końcu nie synkretyzm będzie zasługą poety, ale to, co nie da się sprowadzić do żadnej przeszłej formacji literackiej. Gdyby poezja autora „Rozbierania do snu" nie wnosiła nowych wartości, nie byłoby możliwe pisanie „pod Grochowiaka". Skoro następcy ciągną korzyści z jego naśladowania i prawie każdy krytyk wskaże to, co zostało od Grochowiaka przejęte, musi więc być kanon, miara do której przy tego rodzaju identyfikacji można się odwołać.

Można jednak wyobrazić sobie postępowanie odmienne od stosowanych dotąd przy badaniu liryki Grochowiaka. Należałoby pominąć wszelkie uwikłania jego poezji, aluzje, nawiązania czy polemiki. W polu widzenia pozostałaby jedynie i tylko poezja Grochowiaka.

Wyznam od razu szczerze: z trudem poddaje się ona narzędziom interpretacyjnym. Stawia opór w chwili, gdy się ją próbuje definiować i wskazywać na zawarte w niej znaczenia. Na pewno skala oporu zwiększa się przy odczytywaniu utworów, do których istnieją punkty odniesienia. Zgodnie z uczynioną powyżej uwagą można je zresztą pominąć, a przynajmniej ograniczyć ich wagę. W końcu są to wypowiedzi jednego poety rozpisane na głosy, zrealizowane dzięki rozdaniu ról i rozszczepieniu całego bloku poetyckiego na pojedyncze sytuacje. Wiersz, z którego zdanie dało tematowi tytuł, czytamy nie ze względu na Burnsa i nie o nim szukamy tam informacji. Ta postać służy jako pretekst do zbudowania nowej sytuacji. Nawet gdy czyta się orzeczenie: „Burns to powiedział", wiadomo, że każde ze słów, które następuje, składa się na świat poetycki Grochowiaka.

Nie było lata. Nadciągała zima,
Kładła sopelki na wąsikach myszy.
W uszach psiej głowy jak w niewielkich grotach
Zakuła lodu ołowiowe lustra

Turpizm, o którym tyle atramentu wypisano, uległ tu widocznemu złagodzeniu. Pojedyncze słowa-klucze, znane z tomów poprzednich, jeszcze powracają, ale już bez zamiarów prowokacyjnych, bez wyjaskrawiania semantycznego. Niektóre wiersze przynoszą nowe motywacje dla obecności wszystkiego co nasycone było poetyką brzydoty. W „Bitwie" pisze poeta:

Nie ma bowiem spełnienia, aby nic nie brzydło;
kochasz blask Jej? Stłucz lampę. Kochasz wdzięk? Złam skrzydło.

Grochowiak usiłował tą drogą poszerzyć skalę odczuwania. O nocy można mówić wobec istnienia dnia, o ogniu ze względu na wodę, ciepło wyodrębnia się ze względu na opozycję do chłodu. W słowach z „Bitwy" zawierają się dwa ważne warunki: odnoszą się one w równym stopniu do świata, co do twórczości Grochowiaka. Proces rozwoju jest równocześnie niszczeniem, rozpadem, powolnym zamieraniem. Stąd tak częsta w tej poezji problematyka śmierci, ale też tym ostrzej wyodrębniają się elementy w rodzaju zdania: „A jednak jest w nas ten głód życia".

Z podobnych sposobów budowania napięć poetyckich korzystał Grochowiak od dawna. Jeszcze w „Menuecie z pogrzebaczem" pisał:

Z wierzchu ta ironia
A spodem czułość podpełza ku sercu...

Właśnie u tego poety, u którego tak łatwo o zgrzyt, szorstkość — jeszcze łatwiej o czułość. W pięknym wierszu bez tytułu czytamy:

Przecież mnie czułość nigdy nie opuści;
Nawet gdy zwątpię w śnieżność mego pióra;

Paradoksem jest też, iż u Grochowiaka, gdzie napotykamy słowa pogrubiałe, ostre, tyle jest zdrobnień, wycieniania znaczeń, wtedy najchętniej ucieka się poeta do wynalazków słownych, czasem do archaizmów.

W „Nie było lata" obserwuje się wyrównywanie napięć, złagodzenie istniejących opozycji. Czy to wynik zbliżania się do klasycyzmu? Przy Grochowiaku termin ten może budzić nieporozumienia, do tego poecie tej miary szufladki czy etykiety są zupełnie niepotrzebne. Powaga i dojrzałość postawy poetyckiej — one zbliżają go do klasycyzmu. Ale to są cechy wewnętrzne, dalekie od manieryzmu, które można raczej nazwać nowym pseudoklasycyzmem. Grochowiak zmierza do opanowania wzruszeń, do obiektywizacji wypowiedzi. Jego wiersze nabierają spokoju, ale jest to spokój dojrzałości, zdolnej do spojrzenia na rzeczywistość z dystansu. Najlepszym komentatorem swojej poezji jest sam autor (w wierszu „Do S..."):

Bunt nie przemija, bunt się ustatecznia;
Jest teraz w locie: dojrzałym, dokolnym,
Jakim kołują doświadczone orły.

I dalej:

Bo wpierw to było jakby piaskiem w oczy,
Turniejem chłopców na słonecznej plaży;
A teraz ciężki; teraz więcej waży.

„Nie było lata" oznacza linię wznoszącą się nie tylko samej liryki Grochowiaka. Waży dużo dla nowej poezji, pozwala odbudować całkowite do niej zaufanie. Rzetelności wysiłku twórczego towarzyszy uczciwość postawy poetyckiej i ludzkiej. Stąd tyle w tych wierszach odnajdujemy wzruszeń, współbrzmień i doświadczeń bliskich. Nie zawsze wartości tych utworów dają się określić, ale one tam są, czujemy ich obecność. Można do nich wracać po wiele razy, nie tracą i wtedy nic ze swoich blasków, przeciwnie. O ilu poetach można to powiedzieć?

Tadeusz Kłak

Stanisław Grochowiak: Nie było lata. Warszawa 1969. Czytelnik

Krzyżówka nr 14

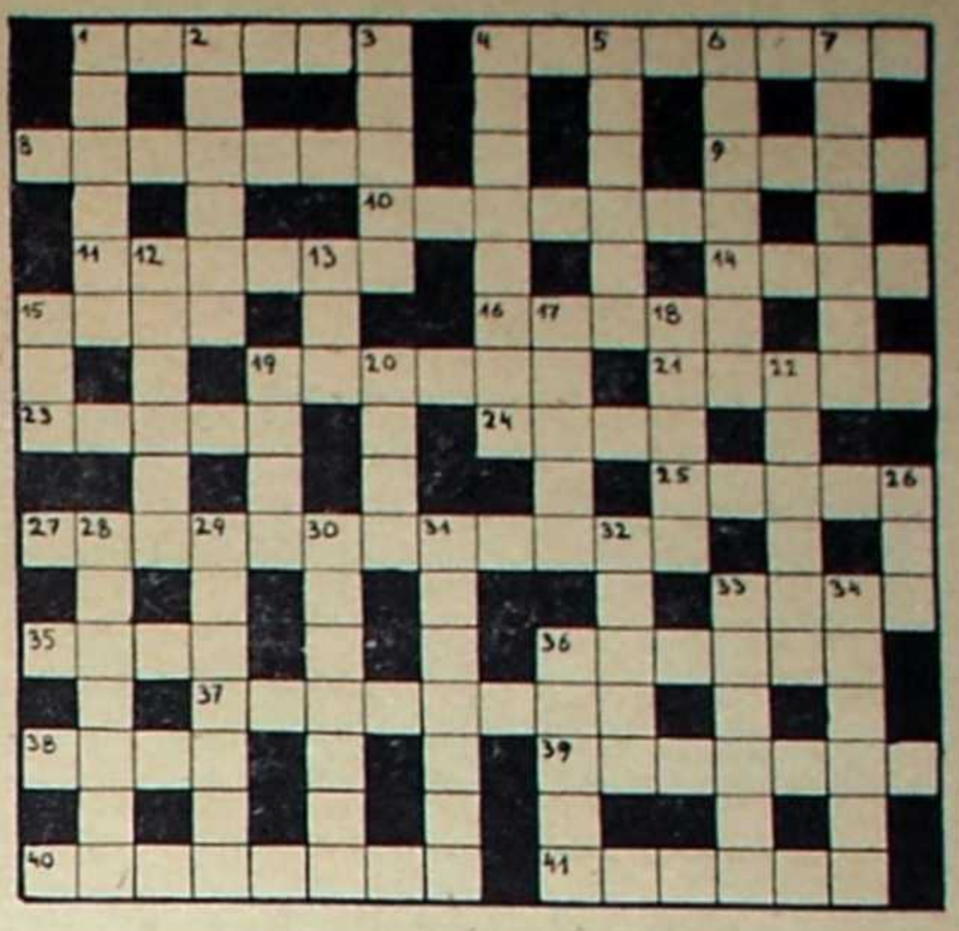

POZIOMO: 1 i 4. imię i nazwisko wybitnego pisarza polskiego zmarłego w 1925 r., 8 i 9. jego dwa pseudonimy literackie, 10. tygodnik warszawski, 11. sąd o czymś, 14. syn Dedala, 15. jezioro w grupie Wielkich Jezior w Ameryce płn., 16. spekulant biletowy, 19. ikra jesiotra, 21. napełniały w Tartarze wodą beczkę bez dna, 23. jezioro pod Kruszwicą, 24. napój z chmielu, 25. hałas, alarm, 27. powieść 4 poziomo, 33. wcześnie zmarły syn 4 poziomo, 35. na nich kręcą się koła, 36. amerykański drapieżnik, 37. uzdrowisko związane z historią 4 poziomo, 38. zawsze modny taniec, 39. ostatnie dni karnawału, 40. nie boi się szczekających psów, 41. pośrednik.

PIONOWO: 1. stojak, 2. smutne utwory liryczne, 3. jezioro w Afryce, 4. przyrząd pokładowy samolotu zachowujący stały kierunek w przestrzeni, 5. obszar odznaczający się swoistymi cechami, 6. dekoracja z drobnych kawałków kolorowego kamienia lub szkła, 7. dopływ Odry, dający nazwę górom, 12. ostra przyprawa, 13. przepływa przez Puszczę Goleniowską, 15. jednostka pracy, 17. popularny gwiazdozbiór, 18. posążki bóstw, 19. ozdobny sztylet, 20. sposób zwoływania pospolitego ruszenia w dawnej Polsce, 22. postępowy poeta chilijski, 26. niedźwiadek, 28. ruch szachowy, 29. wyciąg, koncentrat, 30. przepływa przez Mielec, 31. powłoka, obwódka, 32. miasto na trasie Warszawa-Gdańsk, 33. imię Sasów, 34. najjaśniejsza gwiazda w gwiazdozbiorze Wolarza, 36. imię 8 poziomo.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (Lublin, skr. poczt. 131). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy cztery nagrody w postaci bonów książkowych.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 12

POZIOMO: bojownik, Grywałd, Lesbos, rysunek, siła, Kali, Apis, Breza, stalle, Leicester, rzeżucha, Latarnik, mieszanka, Werona, druki, gnat, tłok, ruda, rogatka, arenda, antymon, transept.

PIONOWO: Baltazar, jaspis, włos, karabela, gąsienica, wiek, Dreiser, Sielec, kaseton, staż, Atena, elektor, urząd, Hindustan, lawirant, tyrada, ring, kontrakt, Montana, Ananke, kosy, Aron.

Nagrody (bony książkowe) za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 12 wylosowali:

Szczepan Drewnowski — Lubsko, ul. XX-lecia 61./74, wojew. zielonogórskie, Alfred Hodoly — Kraków 8, ul. Litewska 4 m. 3, Tadeusz Jasiewski — Lublin, ul. Kwiatowa 5 m. 2, Witold Czachorowski — Lublin, ul. Skłodowskiej 32 m. 1.

Klimat i pieniądze

Dokończenie ze str. 7

zabytku po usunięciu naleciałości wygląda obecnie inaczej niż przed laty. Przy wielotysięcznym nakładzie tych widokówek koszt nowego zdjęcia wyraża się już nie groszową a ułamkowo-groszową sumą. Ale jakoś nikt nie może podjąć decyzji, aby nie rozpowszechniać reprodukcji czegoś, co już wygląda inaczej. Obawiam się tylko, czy ta interwencja nie zakończy się tym, że widokówek z zamojskim Ratuszem w ogóle zabraknie?

Muzeum zamojskie dobiega właśnie 45 roku życia. Ładny kawałek historii, ładny dorobek w oddziaływaniu kulturalnym: 30 tysięcy zwiedzających rocznie. Przed kilku laty otwarto odbudowaną Rotundę jako osobne muzeum martyrologii — teraz obie placówki są połączone w jedną. A tymczasem prawie 9 razy mniejszy Nałęczów ma aż 3 muzea. Więc rodzą się w Zamościu nowe projekty. Nabiera już rumieńców projekt uworzenia muzeum oręża polskiego. To rzecz zawsze atrakcyjna, chociaż w dzisiejszych czasach takie zbiory trzeba już uzupełniać przynajmniej jednym czołgiem i jednym samolotem bojowym, z czym jednak mogą być niejakie kłopoty. Mnie osobiście bardziej przemawia do przekonania późniejszy, a więc w tej chwili tylko perspektywiczny projekt otwarcia muzeum walki wyzwoleńczej południowo-wschodniej Polski. Bogate i pouczające, a także przestrzegające młode pokolenia powinno to być muzeum i ojcowie miasta oraz powiatu — chyba przy pomocy sąsiadów — już dzisiaj powinni myśleć o odpowiednim lokum dla tej placówki.

Natomiast do niewypałów zaliczam pomysł utworzenia w Bondyrzu muzeum meblarskiego. Prawda, w powiecie istnieją trzy fabryki mebli, największy zakład mieści się właśnie w Bondyrzu. Ale czy asortyment przemysłowej, taśmowej produkcji zasługuje na rangę muzeum? I kto je będzie zwiedzał w małym, pozbawionym jakichkolwiek atrakcji Bondyrzu? A gdyby w muzeum zbierać pojedyncze okazy tylko co drugiego asortymentu produkcji, trzeba by było co 3 lata budować nowy pawilon, co naturalnie zawsze będzie mrzonką. Jeżeli już musi być takie muzeum, to niech się tym zajmie przemysł meblarski dla całego kraju, a nie Powiatowy Wydział Kultury dla 3 fabryk.

Jak z tego krótkiego streszczenia widać, zamojskim władzom kulturalnym problemów do rozwiązania nie brakuje. A przecież można jeszcze snuć rozważania o tym, jak w Feliksówce oddano do użytku klub bez pieca i jakichkolwiek urządzeń sanitarnych, czemu w niektórych miejscowościach rozpada się aktyw społeczny, gdy w klubie zaczyna działać etatowy kierownik, co zrobić, aby poziom wykształcenia 100 kierowników punktów bibliotecznych nie ograniczał się do podstawowego, aby działacze kulturalni — jak sekretarz rady klubu w owym Gorajcu — nie byli obciążani równocześnie 10 funkcjami społecznymi...

A jeżeli już zacząłem od alkoholu, to i na nim skończę. Otóż w klubie w Gorajcu na wielkiej tablicy znajduje się wystawka, którą nazywa się antyalkoholową. Jest tu 40 haseł, wykresów i plansz, sfotografowanych na pocztówkach. Pokazując skutki picia, nie nadużywania, ale w ogóle picia alkoholu, mają odstraszyć, przerazić, stłamsić oglądającego smutną perspektywą rodu ludzkiego. Jak wiemy, hasła tego typu zostały przez psychologów dawno potępione jako nieskuteczne. Dodać też trzeba, że pochodzą one z roku 1956, o czym świadczą przytaczane liczby, ostatnie z 1955 roku. Ale świeży wygląd pocztówek świadczy, że właśnie teraz wydobyto je z lamusa.

A do owych 458 zł, wydawanych przez każdego z nas rocznie na wódkę, trzeba jeszcze doliczyć odpowiednią część, licząc okrągło 2 miliony mieszkańców: 521 tys. litrów win gronowych, 7 703 tys. litrów win owocowych i miodów pitnych oraz 1750 sztuk papierosów. Wystarczy, aby po uprzytomnieniu tego popsuć urlop sobie i innym.

Jerzy Dostatni

NAJLEPSZĄ FORMĄ
TERMINOWEGO
OTRZYMYWANIA
„KAMENY"
JEST PRENUMERATA

Listy do KAMENY

„Kudłatka i szczypta zadumy"

Felieton „Jacka" przypomniał mi pewien epizod z filmu „Mondo cane", w którym zamożni Amerykanie grzebią swoje ulubione i zmarłe pieski na psim cmentarzu w Los Angeles. Grzebią z całym ceremoniałem, z takim ceremoniałem, na jaki wielu ludzi nie może liczyć. Na marmurowych nagrobkach kują epitafia pełne łez i żalu, zdobią groby najdroższymi kwiatami, a nawet stawiają na nich flagę narodową. Żal za pziakiem, do którego latami człowiek się przywiązał, jest odruchem bardzo ludzkim. Ale jest coś obrzydliwego w zamianiu proporcji między uczuciem do człowieka i zwierzęcia: w czasach, kiedy tysiące bezdomnych ludzi umiera anonimowo, byle gdzie i byle jak jest chowanych. Ma więc rację „Jacek" przeciwstawiając tragedię milionów ludzi faktowi obłędnej troski o jednego psiaka. W USA zjawisko to ma prawdopodobnie głębsze korzenie społeczno-cywilizacyjne, podejrzewam, że wynika z alienacji, z pragnienia posiadania mimo wszystko kogoś bliskiego, choćby psa, jeśli już nie można liczyć na człowieka. I takiego wybrańca honoruje się odpowiednio po jego zejściu z tego świata. Ale u nas? Czy my mamy czas na alienację?! Pan Szlekys, który ufundował nagrodę w wysokości 3 000 zł za odnalezienie zagubionego pieska, ma chyba na to czas i sporo pieniędzy.

Jerzy Król
Kielce

W Kraśniku zrzucono psa z balkonu czwartego piętra, w Warszawie potraktowano psa jako domownika. Obraz pierwszy oburza każdego, a drugi? Drugi przyjmujemy jednak z „mieszanymi uczuciami". Rodzą się one nie tylko w kontekście takich zestawień, jakich dokonał Jacek (w felietonie „Kudłatka i szczypta zadumy", zamieszczonym w „Kamenie" nr 13), w których Kudłatka nie może się równać, rzecz jasna, z ofiarami trzęsienia ziemi, powodzi, wojen.

Czułość wobec Kudłatek rodzi w nas „uczucia mieszane" niemal codziennie w wyniku konfrontacji ludzkich relacji względem psiej i ludzkiej niedoli, niedoli spowodowanej niekoniecznie kataklizmem, złym losem, ale bardzo często złym stosunkiem człowieka do człowieka.

Żywienie uczuć przyjaźni człowieka wobec Kudłatek jest wynikiem naturalnego, właściwego pojmowania życia w świecie. Wiadomo bowiem, że człowiek stanowi cząstkę przyrody i każda krzywda wyrządzona naszemu niekłamanemu przyjacielowi — psu, budzi w nas odraze, sprzeciw, bunt, każdy zaś objaw sympatii i zdrowej przyjaźni dla tych zwierząt-przyjaciół zdobywa sobie uznanie, ale...

Ale czułość do Kudłatek skłonni jesteśmy nazwać sentymentalizmem wtedy, kiedy psie problemy przysłaniają problemy ludzkie, kiedy bohaterami naszych serc stają się już nie Antelki, ale tylko Karuski, a może i najzwyklejsze pieski.

Wydaje się, że nawet ten, kto nie widział na ekranie telewizyjnym apokaliptycznego obrazu trzęsienia ziemi w Peru i kto nie widział bomb spadających na Wietnam i Bliski Wschód, potopu w Rumunii, spoglądał ze zgrozą na sceny znęcania się rozwścieczonych rodzicieli nad swoimi dziećmi, bitymi publicznie na ulicy, bitymi wszystkim i wszędzie. A może te sceny powtarzały się jeszcze za ścianami naszych mieszkań?

Reagujemy na psie skomlenia, na psie kłopoty, a spowszedniał nam płacz dziecka i jego krzywda. A może, na szczęście, nie rozpowszechniły się jeszcze te okrutne zwyczaje? A może i w tym przypadku niepotrzebne jest bicie w wielki dzwon? Może obojętny stosunek wobec człowieka obcy jest tym, którzy nie skąpią uczuć względem smyczo-spacerowiczów? Może?

Ja jednak znałem takie rodziny człowiecze, które całymi godzinami prawiły monologi przytulonym do łona, milutkim zresztą stworzonkom, a nie miały ochoty do prowadzenia dialogów z chorym sąsiadem, który, pozostawiony w domu przez żonę i dzieci, podciągał swoje starcze kości przy pomocy sznura uczepionego u sufitu.

Słyszałem o wyprowadzeniu umysłowo chorego człowieka do szopy, wiązaniu go za nogę (by nie uciekł), podrzucaniu mu wiktuałów, które swoim wyglądem nie bardzo nęciły nawet czworonogi. I słyszałem o obojętności ludzkiej wobec tej nędzy i poniżenia ludzkiej godności.

Ta znieczulica wobec ludzi chorych i starych, wobec dzieci krzywdzonych przez rodziców i przez los nie pozwala odczytywać z nie „mieszanym uczuciem" faktów z Kudłatką.

A obojętność wobec cierpień ludzi ze swojego podwórka, ze swojej ulicy, ze swojego bloku mieszkalnego, może spowodować apatię wobec ofiar kataklizmów, które nawiedzają naszą planetę, a których ofiarami są ludzie.

J. A. Kania
Rzeszów

KONKURSY

Konkurs literacki na opowiadanie o tematyce współczesnej, ze szczególnym uwzględnieniem problematyki woj. białostockiego (co jednak nie jest warunkiem koniecznym) — ogłaszają Białostockie Tow. Kultury, Wydziały Kultury Prezydiów WRN i MRN, WKZZ oraz Rozgłośnia Białostocka Polskiego Radia. Opowiadania nie publikowane, najwyżej 20 stron maszynopisu, należy nadsyłać w 3 egzemplarzach do 30 września pod adresem: Polskie Radio, Białystok, ul. Akademicka 26 z napisem na kopercie „Konkurs". Zostanie on rozstrzygnięty do końca listopada.

Nagrody: I — 10 tys. zł, II — 6 tys. zł, III — 4 tys. zł oraz dwa wyróżnienia po 2,5 tys. zł.

* * *

Prezydium PRN w Świdwinie, Ośrodek Wojewódzki KKMP w Koszalinie, Pow. Biblioteka Publiczna oraz Pow. Dom Kultury w Świdwinie ogłaszają konkurs poetycki im. Jana Śpiewaka. Udział mogą brać poeci niezrzeszeni w ZLP. Utwory o tematyce dowolnej (poemat, cykl minimum 5 wierszy) należy nadsyłać w 4 egzemplarzach do 20 września — Świdwin Zamek, Wydział Kultury Prezydium PRN.

Nagrody: główna — „Złoty Klucz", dyplom honorowego obywatela Zamku w Świdwinie i 5 tys. zł, 3 wyróżnienia po 2 tys. zł i nagroda publiczności 1 tys. zł. Ponadto 6 dalszych wierszy zostanie zakwalifikowanych do Turnieju Jednego Wiersza, który odbędzie się 25 października, a na który autorzy zostaną zaproszeni na koszt organizatorów.

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Redaguje zespół: JERZY DOSTATNI (sekretarz redakcji), MAREK ADAM JAWORSKI (redaktor naczelny), ZYGMUNT MAŃKOWSKI, ZYGMUNT MIKULSKI — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz: MIROSŁAW DERECKI, IRENEUSZ J. KAMIŃSKI, MACIEJ PODGÓRSKI i ROMUALD WIŚNIEWSKI. Redakcja techniczna i korekta — ALICJA KRÓLIKOWSKA.

Informacji w sprawie prenumeraty udzielają placówki pocztowe i „Ruch" Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, Aleje Racławickie 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4.

Adres redakcji:

Lublin, ul. Narutowicza 25

Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 255-93, sekretarz redakcji i dział publicystyki 275-25

Korespondencje zwykłą prosimy kierować pod adresem: Lublin 1, skrytka pocztowa 131; polecona i ekspresowa — pod adresem redakcji.

LZGraf. Zam. 1921. 1.VII.70. 6.600. Z-3

Kamena str. II

MAŁY PROKESCH POETYCKI

UCICHŁY już chodzące po przedostatnich szpaltach echa pobłażliwych uwag dotyczących pięciu książek z wierszami byłych i aktualnych chełmian, kiedy miesięcznik „Poezja" piórem Tomasza Jodełki-Burzeckiego zamieszcza o nich pełnometrażową recenzję. Zamieszcza nie krępując się swoim własnym zdaniem zawartym we wstępie tekstu, a mówiącym, że wymienione książki ukazały się dla uczczenia 25-lecia PRL, z czego wynika, że recenzja jest spóźniona o coś bez mała roczek. Już sam ten fakt kalendarzowy budzi pewne zastanowienie, ponieważ w praktyce każdej redakcji przyjęte jest nie dekonspirować własnych przeoczeń, jeśli rampa przeoczonego faktu na to pozwala, co w tym przypadku miało miejsce ponad wszelką wątpliwość, ale „Poezja" od pewnego czasu przyzwyczaja nas do osobliwości swego redakcyjnego obyczaju. Osobliwość ta polega na deformowaniu proporcji prezentowanych zjawisk w sposób właściwy: 1) niezorientowanym, 2) ufnym w moc zaskoczenia oryginalnością sądu, 3) pewnym swej sytuacji jako jedynego źródła informacji. Trzecia ewentualność raczej wykluczona, wybierajmy między dwiema poprzednimi.

A więc nie krępując się bynajmniej nader krytycznymi opiniami, które na temat chełmskich książek zostały już opublikowane, m. in. przez samą „Poezję", która osobliwemu happeningowi Stanisława Eugeniusza Steszuka udzieliła sporo zasłużonego sarkazmu, poważny poetycki miesięcznik przystępuje do ponownego wernisażu chełmskiej panoramy, tym razem w tonacji superpodniosłej. Mało: z sugestią, jakbyśmy na tym przykładzie mieli do czynienia z twórczością szczególnie wolną od jakże powszechnie spotykanych zarzutów dotyczących współczesnej poezji w ogóle, jak anonimowość, ułatwione wyznanie liryczne, brak światopoglądowych funkcji itp. Kiedy chełmianom w swej ponownej „poezjowej" audiencji nie tylko oszczędzono miarki kwasu hojnie przydzielanej wszelkiej braci wierszującej — ba! — do ich roboty odnieziono się z atencją, jakiej już dawno w prasie literackiej poza wyjątkami nie uświadczysz, cóż pozostaje w umyśle młodego kierującego się wskazaniami zawartymi w słowie drukowanym? W te pędy po bilet do Chełma, bo widać tamtejsza Uherka (czytaj: do ostateczności miejscową metaforą topograficzną wynękany strumyczek) to niemal Skamander, z którego nurtów wychodzi się Tuwimem, Lechoniem, Iwaszkiewiczem. Po przeczytaniu „recenzji" Tomasza Jodełki-Burzeckiego sam byłbym o tym święcie przekonany, gdybym nie znał omawianych zbiorków, lub mieszkał od Chełma na odległość Warszawy. Jednakże owa niemal missa solennis odprawiona nad pięcioksięgiem chełmian zawiera nie tylko podniosły ton, z jakim nie wiem, czy spotkało się wielu przyzwoitych poetów, ale również co nieco uatrakcyjniających lekturę myślowych i stylistycznych poślizgów. Oto niektóre.

Przystępując do omówienia owych pięciu poświęconych Chełmowi pozycji, o tomiku Szczawieja recenzent mówi, że „słusznie ukazał się pod patronatem Towarzystwa Miłośników Ziemi Chełmskiej, bo znaczna część zawartych w nim wierszy dotyczy tego właśnie regionu". Pod tym patronatem tomik Szczawieja ukazał się nie na zasadzie przypadkowej, a trafnie zauważonej „słuszności", ale po prostu z założenia redakcyjnego, które polegało na wydaniu chełmskich wierszy chełmskich autorów pod patronatem chełmskiej organizacji. Innych wierszy Szczawieja przy tej okazji nie mógłby wydać, a gdyby wydał, wykroczyłby poza koncepcję serii. Takoż Aramis nie może nie należeć do trzech muszkieterów, bo gdyby nie należał, o trzech mowy by nie było. Należy więc ani „słusznie", ani „niesłusznie".

Korzan napisał wiersz pt. „Ballady Bułata", a oto jak to Tomasz Jodełka-Burzecki interpretuje: wprawdzie ta poezja pasjonuje młodych, ale działanie czasu jest znane, więc by podlegające zapomnieniu wiersze Okudżawy utrwalić w pamięci, powstał — jaki? nie podlegający zapomnieniu? — wiersz Korzana. Pozostawmy na uboczu zupozycje, jakie z wymienionego rozumowania wynikają odnośnie rangi przyznawanej przez recenzenta wymienionym autorom, zachwyćmy się samą logiką. A także nie omieszkajmy rozglądnąć się za autorem, który napisze wiersz, kiedy pamięć wiersza Korzana o wierszu Okudżawy „zacierać z wolna" zacznie czas.

Nie wiadomo też, od jakiej strony — naiwności czy braku bodźca do krytycznej analizy — przyjąć enuncjacje w rodzaju: „Te wiersze, jak również następne liryki stanowią dostatecznie mocny argument na obalenie tezy, że młodzież nasza nie potrafi pięknie się kochać". Takie fragmenty wyławiam czasem z kart „Kłosów", „Dzwonów", takoż innych pism wychodzących we wczesnych latach wieku XIX, kiedy penetracje biblioteczne zaprowadzą mnie do starych regałów, a ręka odruchowo sięgnie po zakurzony i pożółkły foliał.

Ale mamy jeszcze jedną „słuszność" w recenzji Jodełki-Burzeckiego: „Słusznie obok „Sekretarki" znalazł się wiersz „Nauczyciel". Sam Korzan pracował jako nauczyciel i zapewne z tego okresu pozostało mu zamiłowanie do lekcji". Niech będzie, że słuszności, aczkolwiek nie wiem, na czym ta słuszność polega. Niech będzie, że liryki Twardzika nie wyzyskują trwałości poezji Kasprowicza, niech będzie, że Wierzyński to Twardzikowy poprzednik, niech będzie, że Okoń pisze — któżby się spodziewał — dla czytelników, co mu zdaje się nie jest na rękę. Podobnej dawki rozczulającej już dawno nie doświadczyłem i nie miałem nadziei natrafić na nią w „Poezji".

Pomyślałby kto, że mimo wszystko postępuję niesolidarnie w stosunku do własnych wojewódzkich krajanów, ponieważ spotkawszy się z pozytywnym przyjęciem ich poetyckiego produktu, z satysfakcją wyszukuję lapsusy recenzji, w intencji mając również podważenie przyznanej mu wartości. Otóż chciałbym zaznaczyć, że już owo przyznanie wyrażone w terminach dziennniczka lektury zadanej przez polonistę — hobbystę krytyki literackiej jest jednym z powodów owego rozbawienia. Potrzeba było przynajmniej przeczytać co nieco prasowych notek z rezerwą kwitujących niezbyt fortunną inicjatywę chełmską, by ominąć śmieszność w jaką popadł „poezyjny" recenzent. Potrzeba było znaleźć się w kontekście miar i ocen dziś stosowanych, a nie „dociekać" wysokiej prawdy zawartej w „pozornie" nieefektownych sformułowaniach, by uniknąć pozycji unikatu rodem z „Niedzielnego Dzwonka".

Co zaś dotyczy poezji chełmskiej, właśnie lokalny patriotyzm nie pozwala nam na serio przyjmować fałszów, czy enuncjacji z ducha podochoconego wujaszka, któremu w dodatku jeszcze nie wyrosły wąsy. Niewykluczone więc, że jest ciocią.

Zygmunt Mikulski

BIG-BEAT

Schabowy po lubelsku

PANIE REDAKTORZE! „Sztandar Ludu" roztoczył przed nami uroki... kuchni parczewskiej. Otóż w ub. r. kierowniczka restauracji „Staromiejskiej" w Parczewie, p. Zofia Wrzesińska i Karol Pochmara — pełnomocnik zarządu PZGS d.s. gastronomii, wyszukali w starych księgach kucharskich przepisy staropolskich dań. Tzw. czynniki odgórne po degustacji odniosły się przychylnie do miejscowych odkrywców i 18 dań staropolskich na trwałe weszło do jadłospisu „Staromiejskiej". Tak więc można tam m. in. dostać zupę królewską z drobiu, barszcz litewski na mięsie, sztukę mięsa wyborną, soczewicę z wieprzowym uchem, flaki z pieca po żmudzku, kołduny po parczowsku (tak, po parczowsku, od starej nazwy Parczewa — Parczow) i inne potrawy. S. Jad., który o tym wszystkim poinformował czytelników „Sztandaru", nie ograniczył się tylko do suchego wyliczenia nowości, ale i podał bliższe szczegóły parczewskiego menu. Co najbardziej dziwi — to cena poszczególnych potraw. Tylko flaki, pieczeń i sztuka mięsa kosztują bez dodatków 10—15 zł, pozostałe — maksimum 7 zł (słownie: siedem złotych).

Od czasu do czasu przychodzi mi się stołować — co czynię bardzo niechętnie — w lubelskich zakładach żywienia zbiorowego (urocza nazwa!). Tylko niektóre spośród nich („Polonia", „Stylowa") usiłują cokolwiek zmienić w stałym zestawie potraw. Na ogół jednak króluje szablon, a jeśli są jakiekolwiek eksperymenty, to budzą one tylko zdziwienie. Oto w restauracji „Nad Bystrzycą", która przeszła wiosenny remont, raptownie skoczyły w górę ceny drugich dań. Dlaczego? Gdy spytałem o to kelnerkę, odpowiedziała, że kuchnia podaje podwójne dodatki. A więc podwójną porcję ziemniaków, kapusty, czy marchwi. Na rynku było już w bród nowalijek, ale ta restauracja z uporem raczyła swych gości kiszoną kapustą.

Oczywiście z nowalijkami bywa różnie: one znacznie podwyższają cenę drugich dań. Np. w „Polonii" zapłaciłem za zwykły rumsztyk ok. 25 zł, tylko dlatego, że podano go z sałatką pomidorową. Nie wiem dlaczego, ale w Lublinie zaniechano zwyczaju osobnego proponowania dań mięsnych i dodatków. Jeden chce zjeść rumsztyk z sałatką pomidorową, a drugi wybierze sałatę, trzeci zaś woli mizerię. Gość ma wprawdzie prawo — zastrzeże się tu kierownictwo gastronomii — wyboru dodatków, ale przecież nie zawsze on o tym wie, a poza tym kelnerzy niezbyt chętnie dokonują zmian, gdyż wiąże się to ze skomplikowanymi obliczeniami.

Króluje, jak się rzekło, szablon. Schabowy, rumsztyk, stek, bryzol i część pracy! Po co się zresztą wysilać, gdy i tak wszystkie stoliki zajęte. Nie czeka się na gości, ale goście — przy ciągłym niedoborze lokali gastronomicznych — czekają na wolne miejsca.

Już kilka lat temu apelowałem na tym miejscu o wprowadzenie w lublinie potraw rosyjskich i węgierskich. Czy nie można wysłać kuchmistrza z „Europy" już nie do Budapesztu czy Brześcia, ale po prostu do... Warszawy? Niech podpatrzy, co robią jego koledzy w „Trojce" czy w „Cristal-Budapest". A jeżeli nawet do Warszawy za daleko, niech wybierze się do Parczewa i nauczy przyrządzać chociażby pierogi z soczewicą. Ba — ja bym dał nawet delegację do Piask, gdzie tamtejszy lokal III czy II kategorii w niczym nie ustępuje ekskluzywnej „Europie", która dziwnym zrządzeniem losu dostała ową „S"!

Nie sądzę, aby dyrektorzy lubelskiej gastronomii stołowali się w podległych im placówkach. Chociaż... panów dyrektorów kelnerzy już dobrze znają i zapewne nie dzieje im się krzywda. Ale co ma robić zwykły szary konsument? Jak to co? Konsumować! Grzecznie siedzieć i uważać, by nie dostać od kelnera po zębach.

W razie czego, niech Pan Redaktor pamięta: ja ostrzegałem!

Jacek

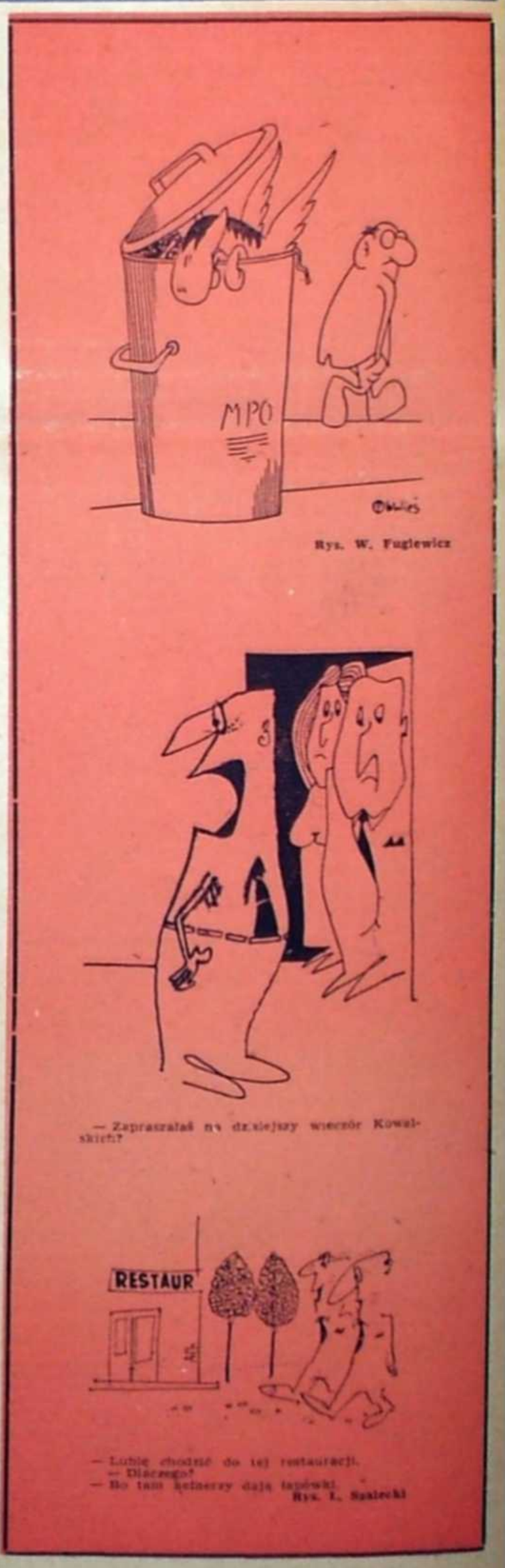

Rys. W. Fuglewicz

NOTY i notki

Co dwa tygodnie ukazuje się pisemko „Rozrywka". Malutki format, podły wygląd graficzny, ale sprzedaje się je spod lady, więc rzadko trafia ono do rąk nie hobbysty. Mam właśnie przed sobą nr 13. Prawie całą pierwszą stronę zajmuje fotografia (fatalnie reprodukowana) pięknej i rozneglizowanej dziewczyny — rozrywka w okresie urlopowym rzeczywiście wspaniała. A na str. 2 taki kwiat poezji (zresztą na każdej innej są podobne): „Różne są jeden-czwór-piąte ludzi/ i jedenaście prostu zwyczaje. /Na przykład siedem mnie radość budzi/ z „Rozrywką" usiąść nad ruczaje". A mnie przerażenie budzi z powodu takiego znęcania się nad językiem polskim. I to bezkarnego.

Czasem i w powieści kryminalnej można spotkać głębokie refleksje socjologiczne. Np. w powieści Krystyna Ziemskiego „X-36 atakuje" („Gazeta Białostocka" nr 178): „Na jakim stanowisku pan pracuje?" — pyta dziewczyna, w widoczny sposób uzależniając swoje dalsze postępowanie od odpowiedzi. „Wysoko, na trzecim piętrze" — odpowiada zagadkowo przystojny mężczyzna. Konkluzja babki jest niedwuznaczna: „Ech, to pan nie jest dyrektorem"...

Informacja, spłodzona długopisem (maz) w nr 131 „Kuriera Lubelskiego", miała być, jak można sądzić z tonacji całości, pochwałą lubelskiego „Orbisu". A w tekście takie stwierdzenie: „Instytucja ta odpiera (jak dotychczas z powodzeniem) istną inwazję wycieczek szkolnych". A jeszcze nie tak dawno lubelski „Orbis" nawoływał, aby powierzano mu organizację wycieczek szkolnych, co zresztą jest jego świętym, chociaż zbyt słono opłacanym obowiązkiem. Całe szczęście, że już są wakacje.

Jedynym (chyba) pismem w Polsce, które zamieszcza felietony na temat wyścigów konnych (w Warszawie), są „Kierunki". Właśnie był koniec sezonu i Zdzisław Umiński snuł rozważania, który koń wygra derby. Oto próbki tych rozważań: „Za Doryantem przemawiają dotychczasowe osiągnięcia... Za Dianą przemawiają... Do niedawna liczył się jeszcze Dakar... Albo, jeśli weźmie udział w wyścigu, może Driada?... Zapewne będzie jeszcze próbować swych sił para stajni Golejewko... A gdyby teraz zwyciężył Olton?". Kto więc, u licha, ma zdaniem autora szanse na zwycięstwo? — spyta rozgorączkowany zwolennik końskiego totalizatora? Po napisaniu kilku kartek w podobnym jak wyżej stylu Umiński odpowiada jasnowidząco: „Ostateczne jednak rozstrzygnięcie zapadnie dopiero w niedzielę". Słusznie — tyle, że o tym wiadomo od początku.

A swoją drogą o konie dbają nie tylko kibice wyścigowi, ale i rolnicy we wsi Lubenia w woj. rzeszowskim. Przynajmniej zdaniem E. Wisza, który w nr 178 „Nowin Rzeszowskich" sformułował takie zdanie: „Szpakowaty mężczyzna zatrzymał konia na skraju pola, zaprzągniętego do wielgachnych bron"... Chłopu należy się dyplom za oszczędzanie konia, ale autorowi dwója z polskiego. Błąd zresztą bardzo powszechny w prasie codziennej.

Gdzieś przed czterema miesiącami „Kultura" wprowadziła jedyną w polskiej prasie a bardzo pożyteczną rubrykę: recenzje z nikomu (poza autorami) niepotrzebnych książek. Chodziło o znalezienie jednego ze źródeł oszczędności papieru i uwolnienie pewnych możliwości produkcyjnych poligrafii. Ale rubryki już nie powtórzono, z czego można by mniemać, że książek niepotrzebnych już się u nas nie drukuje. Czy nie nadmierny optymizm?

Pośrednio potwierdza to sama „Kultura" w nr 27, relacjonując dyskusję o debiutach literackich pod znamiennym tytułem: „Dlaczego więdną?". Janusz Wilhelmi w tej dyskusji stwierdza o ludziach, którzy już zostali członkami ZLP, a więc mają oficjalny „dyplom" pisarza: „Nie zdarza się bowiem chyba, aby komuś, kto go ma już w kieszeni, wydawca powiedział: drogi panie, pańska nowa książka nie świadczy o postępie, jest kopią poprzedniej i to kopią gorszą. Proszę przyjść do nas, kiedy będzie miał pan naprawdę coś nowego". No właśnie, a bardzo szkoda, że tak nie mówią, co człowiekowi naiwnemu może wydawać się niezrozumiałe.

MAJ

W nr 7 „Poezji" ukazały się m. in. wiersze Mariana Kawalki i Józefa Barana. Rzecz nie byłaby osobliwa, gdyby nie fakt, że utwory wspomnianych młodych poetów redakcja umieściła w rubryce „Debiuty". Kawalko i Baran drukowali już uprzednio swoje wiersze na łamach „Kameny". Ale najwidoczniej to się w Warszawie nie liczy. Jak debiut — to tylko w „Poezji"!

W poprzednim numerze „Kameny" Jacek zaczął swój felieton od słów: „Na wczasach, w domu, w... biurze przeczytasz ten numer jednym tchem — tak reklamuje redakcja „Kamenę" (vide: pierwsza strona)". Redakcja w ostatniej chwili (z uwagi na pięć nekrologów w numerze) usunęła ten nadruk, o czym Jacek już nie wiedział. Drugi niezamierzony lapsus trafił się w notatce Wira („Noty i notki"). Stwierdził on, że obecnie nakład „Kameny" wynosi 8.600 egzemplarzy, o czym informujemy w każdej „stopce". Tak rzeczywiście było w pierwszym półroczu. Zapobiegliwy „Ruch" — z uwagi na lato, wyjazd z miasta młodzieży szkolnej, studentów, urlopy — obniżył jednak nakład ostatniego numeru do 6.600 egzemplarzy, o czym dowiedzieliśmy się dopiero... ze „stopki". Ten ostatni numer zniknął zresztą bardzo szybko z lubelskich kiosków. Jesteśmy bardzo ciekawi, ile egzemplarzy „Kameny" w czasie miesięcy letnich nadchodzi do Międzyzdrojów, Świnoujścia, Zakopanego czy Karpacza. A może nasi czytelnicy poinformują nas, czy tam w ogóle można teraz nabyć w kiosku „Ruchu" „Kamenę"?

JOD

— Zapraszałaś na dzisiejszy wieczór Kowalskich?

Odpowiedzi redakcji

J. K. w Białymstoku. Podjął Pan interesujący temat historyczno-obyczajowy. Opracował go Pan nadzwyczaj niedbale i niesamodzielnie. Całość sprawia wrażenie luźnego zlepku rozmaitych materiałów źródłowych z różnych epok. Plus — tu i ówdzie — próba Pańskiego komentarza. Forma literacka niekonsekwentna — raz esej, raz informacja faktograficzna, innym znowu razem fikcja fabularna. Stylizacja językowa także nie do przyjęcia — trzeba rzecz utrzymać albo na poziomie jednolicie archaizowanego języka, albo używać współczesnej polszczyzny, wyodrębniając autentyczne cytaty. A nie raz tak, zaś kiedy indziej — inaczej. Jeśli weźmie Pan do serca nasze uwagi, spokojnie oczekiwać będziemy na nowy maszynopis (koniecznie pisany z podwójnym odstępem! — to także dla informacji innych autorów).

„J. Z. K. z Lubelskiego". Od pewnego czasu pasjonuje Pana pisanie, właściwie nie wierszy, a opowiadań. No cóż, opowiadań nie znamy, a wiersze słabiutkie nadzwyczaj. Jak Pan sądzi, dlaczego dziś poeci w zasadzie zarzucili katarynkowy system sylabotoniczny i rymowanie proste? Może by co na ten temat poczytać? Z tekstami nowszej poezji trochę się zapoznać? Owocnych lektur życzymy. Przemyśleń głębokich. Wierszy nie kwalifikujemy do druku, a i na opowiadania trudno nam reflektować przy tym stanie Pańskiej świadomości literackiej. Od Pana zależy, czy nasze stanowisko w tej materii ulegnie zmianie. Ale to perspektywa chyba bardzo odległa. Kłaniamy się uprzejmie.

M. B. w Gliwicach. Piszesz: „Czuję, że i ja mogę się już wypowiadać w wierszu". Czujemy, że jeszcze się nie powinieneś wypowiadać poetycko. Z poezji współczesnej pojąłeś przede wszystkim te momenty, w których ona burzy tradycyjny układ wersyfikacji, utarte zbitki frazeologiczne. Ale poezja współczesna jest również pewnym uporządkowaniem rytmicznym, opartym tylko na innych zasadach niż dawniej. Jest zamknięciem świata w określonych układach słownych, którymi rządzi autorska wizja rzeczywistości. Zasad owego uporządkowania jeszcze się nie dopracowałeś, ani sobie nawet ich nie przyswoiłeś skądinąd. Radzimy czytać nadal dużo, konferować ze szkolnym polonistą i odezwać się za rok, powiedzmy.

J. R. w Kielcach. „Pęd za robieniem pieniędzy / Wyrósł wśród nędzy. / Lecz minął czas nędzy. / A nie minął czas robienia pieniędzy." To jest, być może, słuszne, choć nie we wszystkim. Reszta jest równie słuszna, a może nawet jeszcze bardziej. Szlachetna jest, intencje obywatelskie prawidłowe. Tyle że to nie poezja — w żadnym wymiarze. Jeśli na laury literackie liczy, czasu strata. Jeśli na utwierdzenie w głoszonych poglądach o tak zwanym życiu i w ogóle — utwierdzamy.

H. Ł. w Chełmie. Wiele staroświeckiego uroku zawierają Pani wierszyki. To prawda. Tradycyjne arkana poezjowania opanowane w wysokim stopniu. Też prawda. Taka jest nasza ocena. Zamieścić „na łamach" nie możemy. Tradycyjne bowiem wierszyki nas nie interesują. Do wyobraźni naszej po prostu nie przemawiają. Nie są w stanie wewnętrznie nas poruszyć. Za tekstami kryją się z pewnością Pani autentyczne przeżycia. Przeżycia nowoczesnego człowieka — jak ośmielamy się domyślać. Ale między przeżyciem a słowem, które je chce nazwać, przepaść głęboka. Już Mickiewicz na to się uskarżał. Pozdrawiamy.

W. B. w Olsztynie. Realiów okupacyjnych Pan nie zna zupełnie. Biografię okupacyjną Pan sobie chce „dorobić". O okupacyjnych sprawach młody człowieku radzimy zaprzestać pisania. Rozejrzeć się wokół siebie. Konflikty współczesne dostrzec. Pełno ich, doprawdy.

— Lubię chodzić do tej restauracji.
— Dlaczego?
— Bo tam kelnerzy dają łapówki.

Rys. L. Szalecki